POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 14-go lutego 1942r.*** — **Rok IV. Nr. 7**

Angielski pokład uczciwości

Im dłużej zastanawiam się nad tym, co stanowi podstawową cechę wartości Anglika, tym więcej wydaje mi się, że jest nią zwyczajnie—uczciwość.

Oczywiście, wiadomo mi, że są w Anglii złodzieje, oszuści i rycerze lekkiego przemysłu, są ludzie, na których słowie nie można polegać. Co prawda, porównawcza statystyka kryminalna wykazałaby, że odsetek nieuczciwości jest w Anglii mniejszy, niż w wielu innych krajach.

Ale nie to jest najważniejsze. Istota rzeczy w tym, że w Anglii nie spotyka się tego, co bywa gdzie indziej: pobłażania w stosunku do nieuczciwości. Tu nie macha się ręką na "drobnostki" w rodzaju ściągnięcia owocu z drzewa na drodze publicznej; nie mówi się o kimś z uśmiechem "gałgan, ale sympatyczny." Tu reakcja jest chocowcza.

Zobaczmy, ile z właściwości, które ceni się w Anglikach można sprowadzić do tej zasadniczej cechy. Okaże się przy tym, że jeśli bywa na świecie uczciwość, od której wieje nudą, to uczciwość angielska jest, przeciwnie, wielobarwna i niepedantyczna i swą pogodną żywotnością rozjaśnia całą atmosferę życia zbiorowego.

* * *

Anglicy są karni i posłuszni. Karni i posłuszni są też Niemcy. Różnica polega na tym, że Niemcy są posłuszni *władzy*, a Anglicy posłuszni *prawu*. Niemcy, bo im odpowiada nastrój musztry; Anglicy, bo trzeba, żeby obywatel był lojalny wobec ustaw parlamentu reprezentującego swobodną wolę zbiorową.

U nas znów było inaczej. U nas traktowało się posłuszeństwo ustawodawstwu jako dowód "wyrobienia obywatelskiego," a więc coś jakby wyższy stopień rozwoju duchowego. W Anglii jest to rzeczą zwykłej uczciwości: w stosunku do ciała ustawodawczego należy kierować się tą samą zasadą *fair play*, jakiej przestrzega się w sporcie.

Po prawdzie, rzeczy te—uczciwość i duch sportowy—tak powikłały się ze sobą w Anglii, że czasem niewiadomo czy sportowość Anglików /niewyzyskiwanie przypadkowej przewagi!/ jest wynikiem ich naturalnej uczciwości, czy na odwrót ich uczciwość i przestrzeganie przepisów prawnych wypływa z ich sportowego stosunku do życia . . .

* * *

Anglik jest uczciwy przede wszystkim wobec siebie samego i to wyrabia w nim szacunek własny—*self-respect*. Od najmłodszych lat uczy się tu dziecko, żeby mogło każdemu patrzeć prosto w oczy, żeby przyjmowało odpowiedzialność za swe zachowanie się i umiało doznawać zadowolenia z siebie, gdy nie daje się skusić niedobrej łatwości.

Jest następnie uczciwy wobec drugich i stąd wynika osobliwy klimat życia angielskiego. Żądanie stuprocentowej prawości przesiąka tu atmosferę i istnienie takiej właśnie bezkompromisowej prawości jest przesłanką wszelkich stosunków.

U nas /i nie tylko u nas/ ludzie przy pierwszym spotkaniu przeważnie patrzyli na siebie trochę z podełba. Pytano się, kto zacz ten nowy znajomy, czy można mu zaufać. Anglik nie zadaje tego pytania; przyjmuje za pewnik, że drugi *też* jest uczciwy. Jakże to ułatwia życie, jak wynosi je ponad pospolitość. Jaka rozkosz, zwracając się do jakiegoś urzędnika państwowego, nie potrzebować dowodzić, że jest się porządnym człowiekiem i nie zamierza się władzy podejść, ale spotkać się od razu z pochlebnym zaufaniem.

Prawda, że wskutek tego stosunkowo łatwo oszukać Anglika. Ale raz tylko. Człowiek, na którym—okazało się—nie można polegać lub przed którym, co gorsza, należy mieć się na baczności, przestaje dlań istnieć. Dlatego /przepraszam za moralizatorstwo, ale rzecz to bardzo ważna/ każdy z nas przebywających tutaj jest teraz po trochu księciem Józefem: ma w swym ręku honor Polaków.

Przesłanka uczciwości jest olbrzymią wygodą. Pomyślmy, jak konieczność ciągłej ostrożności wobec bliźniego utrudnia życie. Anglik lubi wygodę. Dlatego nie ceni ludzi sprytnych. Spryt wzbudza w nim obawę, że będzie musiał wyzbyć się swobodnej ufności i rozglądać się, czy go partner nie chce czymś zaskoczyć lub czy mu nie zastawia jakiejś pułapki. Płaci za to właściwą cenę: nie usiłuje sam być przemądrzały. Żart "bujać to my, ale nie nas" nie mógłby mieć w Anglii takiej popularności, jaką cieszył się u nas swego czasu /aż ułatwił "zbujanie" całego wielkiego odłamu społeczeństwa/.

Anglicy nie dostrzegliby w nim nic dowcipnego, natomiast odczuliby natychmiast jego gruntowną niemoralność. T.zw. cwaniactwo może im wydawać się zabawnym w angielskim odpowiedniku gazeciarza warszawskiego lub krakowskiego andrusa z nad Wisły. Ale jako cecha rozpowszechniona w społeczeństwie jest im wstrętne. Jest sprzeczne z ich pojęciem wdzięku życia.

* * *

Uczciwy wobec siebie samego i wobec innych, Anglik jest też uczciwy wobec całego swojego narodu. Z tego ostatniego rodzaju uczciwości płynie angielska obowiązkowość. Literatura tutejsza nie błyska takimi opisami brawurowego bohaterstwa Anglików, jak np. francuska czyni to w stosunku do męstwa Francuzów. Cyrano de Bergerac—rycerz narażający życie z kaprysu fantazji—nie mógłby przemawiać tak do smaku Anglików, jak przemawiał do gustu francuskiego. Nie obiegają tu, jak we Francji, wspaniałe koturnowe powiedzenia w rodzaju "stara gwardia umiera, ale się nie poddaje." Gdy Nelson chciał zagrzać swych marynarzy do rozstrzygającego boju, podał jako hasło dnia te proste słowa: "Anglia spodziewa się, że każdy spełni swój obowiązek." *I to wystarczyło.*

Bo tu nie potrzeba stylu patetycznego, nikt też nie próbuje budzić hurra-patriotyzmu. Zwykła uczciwość myślenia sprawia, że Anglik rozumie, ile zawdzięcza przeszłym pokoleniom swego narodu, ile przeto winien oddać przyszłym. Tego wyrównania dokonywa skrupulatnie, bez deklamacji. Gdy bywa bohaterski, jest nim niescenicznie, po prostu, bo tak trzeba—bo *tak* jest uczciwie.

Pamiętacie Wołodyjowskiego posłanie przed śmiercią z poświęcenia, owo króciutkie a cudowne "nic to"? Tak właśnie bezornamentacyjnie składa narodowi siebie w ofierze Anglik. Nie powiewa pióropuszem, lecz salutując nieruchomo sztandar, idzie na dno ze statkiem, któremu kapitanował.

* * *

Historii angielskiej nic ludzkiego nie jest obce. Zapisano na jej kartach czyny zgoła brutalne, przykładów zaborczości też w niej nie brak. Charakterystyczne jest jednak, że odkąd słowo wywalczyło sobie w Anglii swobodę, zawsze w czasie wojen zaborczych czy z jakiegokolwiek innego powodu nieświętych /o Indie np., o kolonie w Ameryce, o Afrykę Południową/ odzywali się w parlamencie angielskim mówcy, którzy wnosili protest. Czynili to w słowach twardych, nabrzmiałych oburzeniem, piętnujących bez ogródek.

I ciekawe, że takie właśnie smagania poczynań własnego narodu przechowuje się do dziś w antologiach prozy angielskiej. Raz po razie znajduje się w ulubionych w Anglii wypisach literatury wyimki mów polityków, co przeciwstawiali się polityce zaborczej i ponad falą chwilowych prądów trzymali wysoko niezamokły sztandar uczciwości angielskiej. Oto przykład.

W pewnym okresie wojny z buntującymi się kolonistami amerykańskimi /w roku mianowicie 1777-ym/ Anglicy poczęli wysługiwać się Indianami czerwonoskórymi, którzy chętnie odbijali sobie przy tym swe zadawnione krzywdy. Na wieść o tym schorowany, przedwcześnie postarzały lord Chatham—jedna ze sław politycznych Anglii—zwlókł się z łoża i zabrał głos w Izbie Lordów.

"Hiszpania" — mówił — "używała psów gończych do wytępienia nieszczęsnych tubylców amerykańskich. My udoskonalamy jeszcze nieludzki przykład okrucieństwa hiszpańskiego. My wypuszczamy te dzikie psy piekielne na naszych braci i rodaków w Ameryce, ludzi tego samego języka, tych samych praw, wolności i religii. Panowie, jestem stary i słaby i w tej chwili niezdolny powiedzieć nic więcej. Ale moje uczucia i oburzenie nie pozwoliły mi powiedzieć mniej. Nie mógłbym spać tej nocy, ani ułożyć głowy na poduszce, gdybym nie wyraził swego wiecznego wstrętu do tak niewczesnych i potwornych przedsięwzięć."

* * *

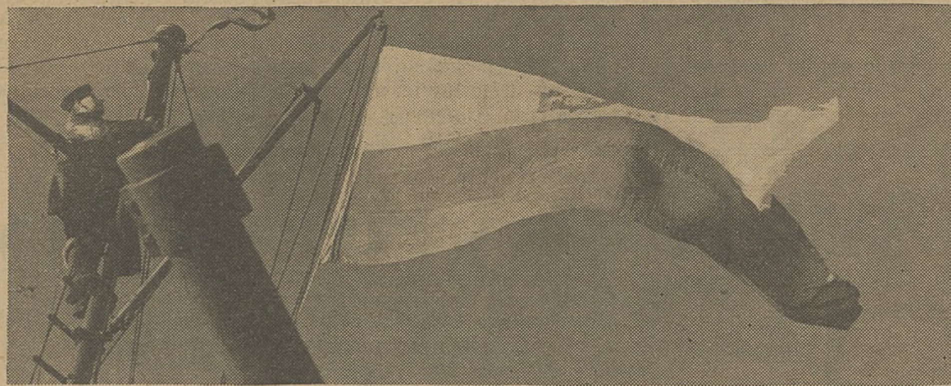
Z uczciwości wywodzi się tak powszechna w Anglii wzajemna życzliwość ludzi dla siebie. Człowiek prawy jest drugiemu prawemu bratem. Słoneczność takiego stanu rzeczy wyrównywa wiele z niedostatków fizycznego klimatu Anglii.

W tej dziedzinie ujawnia się jednak odwrotna strona medalu. Anglicy bywają łatwowierni w polityce zagranicznej, przypisując drugim taką samą chęć uczciwego życia, jaką mają sami. Trwająca do wiosny r. 1939 pobłażliwość polityki angielskiej w stosunku do rozwoju wydarzeń w Niemczech była w niemałej mierze wywołana tym, że przeciętnym Anglikom, tworzącym opinię tego kraju, w głowie się nie mieściło, iżby państwo jakieś mogło latami uprawiać systematycznie politykę wprowadzania świata w błąd.

Mówiono pod koniec tamtej wojny światowej, że toczy się ją po to, żeby demokracja mogła spokojnie żyć na tym świecie. Niebardzo się to udało. Wydaje mi się, że cele obecnej wojny można najogólniej określić, twierdząc, że toczy się ją po to, by uczciwość mogła poruszać się bezpiecznie po terenie międzynarodowym. By naród, w którym człowiek szanuje człowieka, bo obaj pragną sprawiedliwości życia, mógł żyć bez trwogi o swój byt państwowy. Chodzi o stworzenie świata, w którym angielska cnota uczciwości, tak wspaniale rozpogadzająca wewnętrzne życie tutejszego społeczeństwa, nie będzie mogła zmieniać się w dziedzinie międzynarodowej w naiwność wyzyskiwaną przez chytrość zaborczą.

Zmieści się w tym postulat demokracji, jako że w gruncie rzeczy demokracja nie jest niczym innym, jak wyrazem politycznym uczciwego stosunku ludzi do siebie i do wspólnych im spraw. Uczciwi Anglicy są pionierami demokracji.

MIECZYSŁAW SZERER



NA ŚWIĘTO MARYNARZY

Można myśleć, że los dość szczególnie wybrał czas na polskie święto marynarki. Nie jest to pora ani trochę malownicza, ani trochę kolorowa, nic w niej z wdzięków łatwych i przychlebnych, nic z taniej "poetyczności." Jest to święto symbolicznie twarde i surowe, święto pracy i walki. Jest to święto odwołujące się do instynktu trwania, do cnót bez pióropusza: do cierpliwości, wytrwałości i uporu, do zaciekłego, ale i świadomego uporu, który przetrzymuje i zwycięża ślepą wrogość żywiołów.

W te dni lutowej pogody, tak dolegliwe w Londynie i w Szkocji, nasza myśl szuka polskich marynarzy na dalekich, wietrznych, bezsłonecznych, krzyczących pustyniach oceanów, w portach, nad którymi wisi mgła cięższa jeszcze, niż nad Londynem i obozami Szkocji. W czuciu każdego z nas, w całym czuciu polskim marynarze przez to ich święto tak nieodświętne, tak powszednie, tak zwykłe i trudne stają się jeszcze droższą, jeszcze cenniejszą cząstką naszego wspólnego dobra.

Rozumiemy, że przez nich zbiorowa dusza polska zyskuje, pomnaża cechy, których jej było brak, wzbogaca się w cnoty bez pióropusza, cnoty najtrudniejsze dla człowieka, napewno najbardziej trudne dla Polaka.

Rozumiemy, że oni prowadzą wojnę najbardziej wytrwałą, najbardziej upartą, ciągle napiętą i ciągle czujną, która nie zna przerw, nie zna zawieszeń, nie zna pojęcia "zbrojnego bezrobocia."

Rozumiemy jeszcze, że odrabiają oni za nas wszystkich, za całą polską społeczność mozolną, doniosłą, płodną pracę: zdobywają dla nas morze. Zdobywają je w wyobraźni, w czuciu, w rachunku każdego z nas, zdobywają je w samym tajnym instynkcie całego narodu. Jak by nie chodzili po ruchomych przestrzeniach wodnych, ale przez lity blok skalny się przełamywali—wyrębują naszą drogę do morza.

Po tej wojnie sprawa morza nie będzie już sprawą takiej czy innej, mniejszej lub większej grupy zapaleńców, maniaków, ofiarników. Nie będzie sprawą tych uczniaków, którzy lubili chwytać z kart "Morza" daleki, dziwny dech, daleki, dziwny szum a dziś pewnie są marynarzymi albo w kraju niewolnym, wśród nocy struchlałej od zgrozy śnią, aby być marynarzami. Po tej wojnie sprawa morza będzie sprawą całego narodu. Będzie sprawą "szarego człowieka." Będzie w Polsce sprawą każdego człowieka.

Wbrew temu co myślą i mówią maksymaliści, co może się wydawać zdala samym marynarzom—trudno nie widzieć jak głęboko już wrosła, jak nas całkowicie objęła religia morza. Religia morza jest już dziś częścią religii polskości. Nie ma w naszym czuciu, w naszej kalkulacji gromadnego istnienia, w naszym wyobrażeniu, w samym rdzennym instynkcie, w samym odruchowym reagowaniu—Polski bez morza i wszystkiego co jest morskie, jak jej nie ma bez ziemi, bez powietrza i bez nieba.

To jest bez wątpliwości dorobek walki i pracy marynarzy polskich, to jest dorobek tych nieefektownych cnót bez pióropusza, dni i nocy, dni i nocy odwalanych, jak skiby na wodnym ugorze. To jest sens tego święta, które tak bardzo zdaje się marynarskie w powszedniości swojej, w szarym kolorycie i codziennym trudzie.

Z męską, żołnierską czułością szukamy Was na dalekich szlakach wodnych, w portach i przybrzeżach Drodzy Marynarze obu flot polskich: wojennej i handlowej, aby Wam to powiedzieć. Jesteśmy pewni, że to samo—z nami żołnierzami wszystkich broni—myśli i czuje cała Polska Walcząca.

TYMON TERLECKI

Franklin Delano Roosevelt

II*

" Nie jest to co prawda napisane w konstytucji, ale tym nie mniej istotny obowiązek rządu federalnego jest dbać o to, by nikt z obywateli nie cierpiał głodu."

" Wiemy dzisiaj, że rządy zorganizowanego pieniądza są równie groźne, jak rządy zorganizowanego tłumu. Nigdy jeszcze w naszej historii siły te nie były tak zjednoczone przeciw jakiemuś kandydatowi, jak są dzisiaj. Są jednomyślne w swej nienawiści dla mnie— i jestem z tej nienawiści dumny."

/z przemówień
Franklina Roosevelta/

Chwila objęcia prezydentury przez Roosevelta przypadła na szczyt kryzysu: w kilka dni po tym wszystkie banki amerykańskie zamknęły swe okienka kasowe. Lud wybrał Roosevelta, bo miał dosyć partii republikańskiej i jej rządów, " dobrze poinformowani " jednak nie przypuszczali, by zmiana prezydenta, lub zmiana partii mogła cokolwiek zmienić w ustalonym systemie gospodarki kapitalistycznej Stanów.

Walter Lippmann, jeden z najświetniejszych dziennikarzy amerykańskich, sam człowiek o szczerze postępowych poglądach pisał na kilka dni przed wyborami: " F. D. Roosevelt jest przyjemnym panem o wielu filantropijnych pobudkach, nie jest jednak przeciwnikiem niebezpiecznym w jakiejkolwiek sprawie, zbyt dba o to, by się podobać . . . F. D. Roosevelt nie jest krzyżowcem, nie jest trybunem ludu, nie jest wrogiem oszańcowanych przywilejów. Jest to przyjemny pan, który nie mając żadnych wybitnych kwalifikacji na to stanowisko, bardzo by chciał być prezydentem " /W tym samym zresztą czasie mniej więcej Sir Philip Gibbs pisał: " Nikt w Anglii nie wierzy w polityczny rozum Winstona Churchilla."/

" Przyjemny pan " okazał się jednak mocno nieprzyjemny. Od razu z chwilą objęcia prezydentury zapowiedział *" New Deal "*— nowe rozdanie kart. Okazało się, że to, co Lippmann i inni uważali u byłego gubernatora Nowego Yorku po prostu za impulsy do dobroczynności było wyrazem głębokiego przekonania, że bardzo wiele w Stanach musi ulec zmianie. Stany chełpiły się swoim " surowym indywidualizmem," zasadą: " każdy sobie." Doktryną panującą było głębokie przekonanie, że władza państwowa nie powinna się mieszać do interesów, że wszystko się jak najlepiej ułoży, gdy się siłom gospodarczym pozostawi wolną rękę.

W imię tego walczono ze związkami robotniczymi i pozwalano fabrykantom na korzystanie z band Pinkertona, które strzelały do strajkujących robotników. Były co prawda granice tego *laissez faire*'yzmu. Gdy przyszła katastrofa Hoover nie zawahał się przed stworzeniem organizacji dla ratowania banków /*Reconstruction Finance Corporation*/ i przed pomocą państwową dla banków, idącą w setki milionów dolarów. Ale jednocześnie w imię *laissez faire'yzmu* i indywidualizmu opowiedział się przeciw billowi zapewniającemu zasiłki dla milionów bezrobotnych, których ten sam kryzys wyrzucił na bruk.

Roosevelt zerwał z tym *laissez faire*'yzmem. Szereg ustaw poddał kontroli państwowej: banki i instytucje finansowe, aby uniemożliwić puszczanie w obieg bezwartościowych papierów, inna ustawa: *National Industrial Recovery Act* /N.I.R.A./ połączył pomoc dla przemysłu z uznaniem praw pracy i zapewnieniem maksymalnych godzin i minimalnych płac; *Agricultural Adjustment Act* /A.A.A./ dał pomoc państwową farmerom; *Wagner Act* ustalił prawa robotnicze i prawa związków robotniczych; wreszcie *Works Progress Administration* /W.P.A./ zainicjowało cały szereg robót publicznych dla rozładowania bezrobocia, tworząc jednocześnie obozy dla bezrobotnych i zapewniając im pomoc. Ci, którzy czytali piękną książkę Steinbecka *"Grapes of Wrath,"* albo widzieli wspaniały film Forda, oparty na tej powieści mieli unaocznione, co dla robotnika amerykańskiego oznaczały te przedsięwzięcia Rooseveltowskie, jak te obozy dla bezrobotnych były jedyną oazą na pustkowiu rozpaczy.

Nie tylko zresztą o bezrobotnych proletariuszy dbała W.P.A. Zwróciła się ona z pomocą i do bezrobotnej inteligencji. Malarze otrzymywali zamówienia rządowe, pisarzom i aktorom udzielono pomocy przez utworzenie wędrownych teatrów federalnych, muzykom przez tworzenie wędrownych



Roosevelt składający przysięgę na ewangelię po trzecim wyborze na prezydenta Stanów Zjednoczonych

orkiestr symfonicznych. W ciągu roku W.P.A. zakupiła dzieł malarskich na sumę 46 milionów dolarów; orkiestry symfoniczne obejmowały 6000 muzyków i odegrały dzieła 1400 kompozytorów.

Dodajmy, że ta pomoc W.P.A. walnie przyczyniła się do podniesienia poziomu sztuki amerykańskiej. Nie bano się bowiem sztuki rewolucyjnej, popierano młodych pisarzy, muzyków, malarzy. I jednocześnie popularyzowano sztukę. Podczas tygodnia muzyki w 1938 roku 85 milionów słuchaczy odwiedziło koncerty W.P.A.

Wreszcie Roosevelt uderzył amerykańską oligarchię finansową w najczulsze miejsce. Państwo przedsięwzięło elektryfikację doliny Tennessee i zaczęło dostarczać prądu po cenach nieskończenie niższych od cen koncernów kapitalistycznych. W Europie nic by w tym nie było dziwnego. W Stanach jednak było to rewolucją. Przecież tak niedawno jeszcze Hoover sprzeciwił się puszczeniu w ruch przez państwo elektrowni w Muscle Shoals, która należała do państwa, ale której ani sprzedać ani wydzierżawić nie mogło, bo prywatnie koncerny ofiarowywały tak niskie ceny, że nawet Hoover nie odważył się ich przyjąć. W walce przeciw temu *Tennessee Valley Authority Act* wysunął się zresztą na czoło adwokat prywatnych elektrowni— Wendell Willkie, późniejszy kontrkandydat w trzecich wyborach prezydenckich, w których Roosevelt miał także zwyciężyć.

Tak więc przeszła pierwsza prezydentura Roosevelta pod znakiem walki z feodalizmem kapitalistycznym, pod znakiem walki o " szarego człowieka." W sferach wielkich banków, wielkiego przemysłu Roosevelt stał cię człowiekiem najbardziej znienawidzonym. " Bolszewik " było najłagodniejsze określenie jego osoby.

Gdy przyszły wybory 1936 roku puszczono wszystko w ruch, by ponownemu wybraniu Roosevelta przeszkodzić. I w sferach posiadających panowało ogólne przekonie, że się uda tego " bolszewika " obalić. Miesięcznik " Fortune," który stale przeprowadzał między czytelnikami ankiety co do przewidywanego rezultatu wyborów i który nigdy się jeszcze nie pomylił w przepowiedniach, dawał przeciwnikowi Roosevelta, republikaninowi Landon, olbrzymią większość.

Przygniatającą większością głosów został wybrany Roosevelt. W dwóch stanach jedynie, Vermont i Maine, udało się Landonowi osiągnąć większość. W wyborach przemówił " szary człowiek," który nie miał pieniędzy na prenumeratę " Fortune " i którego " Fortune " ignorowała.

Roosevelt przyjął ponowny wybór jako znak, że ma prowadzić dalej swoją politykę. I rozpoczął nowy okres prezydencki wypowiedzeniem walnej batalii Najwyższemu Sądowi Federalnemu. Podług konstytucji amerykańskiej sąd ten odgrywa rolę bezpartyjnego arbitra. Ma on prawo unieważnić każdą ustawę, która jest sprzeczna—jego zdaniem—z konstytucją.

Tak się jednak stało, że ten Najwyższy Sąd właśnie stał się najbardziej opancerzonym środowiskiem reakcji społecznej, narzędziem w ręku przeciwników Roosevelta. Prawie wszystkie ustawy zostały uznane za niekonstytucyjne. Niekonstytucyjną okazała się ustawa o emeryturach dla pracowników kolejowych, bo " nie można zabierać jednemu własności, by oddać ją drugiemu." Niekonstytucyjną ustawa o płacy minimalnej dla kobiet, gdyż " nierozsądnie ograniczyłaby je w konkurencji z mężczyznami i dowolnie by je krępowała w otrzymaniu pracy."

Znaczenie tych " niekonstytucyjności " jaskrawo się okazało, gdy nazajutrz po wyroku uznającym niekonstytucyjność N.I.R.A. wszystkie akcje skoczyły w górę. By zresztą spaść nazajutrz, gdy przywódca *American Federation of Labour*, Greene, oświadczył, że wyrok ten będzie sygnałem dla fali strajkowej. Roosevelt więc zapowiedział wniesienie ustawy o emerytowaniu zbyt starych sędziów i o powiększeniu ich liczby.

Tę batalię przegrał. " Pogwałcenie " konstytucji wydało się czymś tak potwornym przeciętnemu Amerykaninowi, że wielu zwolenników Roosevelta się zawahało. I Roosevelt od zamiaru odstąpił. Gdy jednak wkrótce potem Sąd miał rozstrzygnąć sprawę konstytucyjności *Wagner Act*, wydał orzeczenie dodatnie, uznał ją za konstytucyjną. Wkrótce zaś jeden z sędziów sam się podał do dymisji, inni umarli i Roosevelt miał już w Sądzie zapewnioną większość. W rzeczywistości więc batalię wygrał.

Zatrzymałem się dłużej nad tym epizodem, jest on bowiem świetną ilustracją techniki Rooseveltowskiej, jego elastyczności w przystosowywaniu się do warunków przy nieopuszczaniu ani na chwilę z oczu głównego celu.

Już w drugiej prezydenturze Roosevelta jednak sprawy zagraniczne zaczęły przesłaniać sprawy wewnętrzne. Tym sprawom zagranicznym, roli Roosevelta jako przywódcy już nie tylko demokracji amerykańskiej, ale demokracji światowej poświęcimy następny artykuł.

Zaznaczmy teraz jedynie, że dziś jeszcze, w środku burzy światowej, Roosevelt nie zapomina o sprawach społecznych. W pogadance przy kominku z grudnia 1920 mówił: " Nie prosiłbym nikogo o obronę demokracji, którąby z kolei nie potrafiła obronić każdej jednostki przed życiem na bruku i przed nędzą." Jako jedną z czterech wolności podstawowych wymienił w innym przemówieniu " wolność od nędzy." I karta atlantycka mocno podkreśla właśnie momenty społeczne.

CZESŁAW POZNAŃSKI

* Por nr. 6 " Polski Walczącej " z b.r.

Szkic sytuacyjny



SINGAPORE W OGNIU

Wielka twierdza Dalekiego Wschodu, Singapore, znajduje się pod obstrzałem artylerii japońskiej. Odpowiadają ciężkie działa fortecy, która nie przypuszczała, że będzie atakowana od strony lądu, od strony wąskiego przesmyku *Dżohore*. Strategia brytyjska nie przewidywała n.p. wrogiej postawy Sjamu; okazuje się dzisiaj, że stanowisko Sjamu było w dużej mierze decydujące dla losu całych Malajów. Dzisiaj mały Sjam, posiadający kilka tysięcy lichej armii — wypowiada /oczywiście z podszeptu japońskiego/ wojnę W. Brytanii.

Singapore jest twierdzą nielada, zapasy żywności są tam znaczne, artyleria mocna. Jak długo wytrzyma Singapore ogień japoński i akcję bombowców wroga—nie wiemy. Myśliwce brytyjskie nie mogą działać tak skutecznie jakby chciały, albowiem *lotniska* na wyspie singaporskiej /jest ona wielkości *wyspy Wight* leżącej tuż u brzegu Anglii/, znajdują się pod ogniem dział.

Na opór twierdzy singaporskiej patrzy całe Imperium. Wierzy ono, że Singapore będzie *nowym Tobrukiem*, chociaż wydaje się, że położenie Singaporu jest pod pewnymi względami trudniejsze: jest to rojne i *ludne miasto* a obrona takiego miasta nastręcza rozliczne i ciężkie zagadnienia.

ZNOWU TOBRUK

Armia Rommla zapędziła się już niemalże pod Tobruk. W danej chwili nie sposób osądzić gdzie wojska brytyjskie przyjmą walkę. Wydaje się, że dowódcy brytyjscy unikają walki aż do chwili, kiedy będą mogli rzucić na nieprzyjaciela poważne siły.

Rozgłośnie niemieckie dają do zrozumienia, że Rommel będzie się starał iść dalej a nie popasać na granicy Egiptu. Najwidoczniej Rommel otrzymuje posiłki nie tylko szlakiem, by tak rzec, normalnym. Wychodzi dzisiaj na jaw, że Vichy zaopatruje Rommla przez Tunis. Przez port w Bizercie idą transporty, a odległość między Sycylią a Bizertą nie jest wielka. Francja Pétaina i Darlana odgrywa znowu ponurą rolę *cichego wspólnika*.

Kampania libijska udowodniła, że siły niemieckie są poważne i że Rommel jest groźnym przeciwnikiem. Potrafił on bowiem, po otrzymaniu cięgów z rąk angielskich, wycofać się niezwykle szybko do baz, naprawić swoje czołgi i ruszyć na nowo do boju. *Warsztaty reparacyjne* Rommla pracowały szybciej, aniżeli warsztaty brytyjskie, jak przyznaje lojalnie prasa angielska. I oto Rommel uprzedził o parę godzin Anglików.

Libia dowiodła jeszcze czegoś innego. Mianowicie, że nawet t.zw. przewaga lokalna w powietrzu nie decyduje o postępach armii lądowej. Samolot musi posiadać dzisiaj jeszcze inne zalety: musi niekiedy być wyposażony w *działka przeciwpancerne*. Takie maszyny mają Rosjanie i rola tych maszyn w porażeniu natarcia czołgów niemieckich była napewno poważna. Anglikom brak takich właśnie maszyn, a konieczność ich okazała się w pełni w Libii.

Czołgi niemieckie są mocniej opancerzone i ciężej uzbrojone— stąd nauka, że trzeba wytwarzać podobne czołgi albo jeszcze groźniejsze /Kanada oznajmia, że produkuje takie właśnie czołgi typu " *Ram* "/. Brak jest dalej bombowców nurkujących i to w poważnych ilościach /Amerykanie wytwarzają podobno doskonały aparat tego rodzaju typu " Vultee "/. Słowem wojna dzisiejsza wyrzuca niemal co kwartał nowy sprzęt, pokazuje *nowe zastosowanie broni*, otwiera nowe perspektywy, jeżeli chodzi o broń zmotoryzowaną. Trzeba te wszystkie nauki szybko zbierać, stosować, trzeba produkcję *naginać* i przestawiać możliwie szybko i sprawnie.

To są nauki libijskie. Wierzymy, że będą one *wyzyskane*.

AWANTURA NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM ?

Czy istotnie marsz Rommla, marsz forsowny, będzie częścią składową jakiejś szerzej pomyślanej działalności w basenie Morza Śródziemnego? Wiele wskazuje na to, że tak będzie. Wizyta *Goeringa* w Rzymie, zjawienie się bystrego stratega wojny spadochronowej, *gen. Studenta* we Włoszech, manewry *gen. Kesselringa*, znanego dobrze w Polsce, Holandii i Francji—to wszystko dowodziłoby, że gotuje się *poważna akcja lotnicza* mająca za podstawę bazy włoskie /Sycylia, Kalabria a może nawet i pewne lotniska we Francji południowej czy w Hiszpanii wschodniej/.

Czasu wiele Hitlerowi do takiej akcji *nie zostało*, jeżeli na koniec kwietnia czy początek maja wyznacza uderzenie w Rosji. Ataki na *Maltę* miały na celu bodaj nie tylko trzymanie tej bazy pod ogniem—z niej to bowiem działają brytyjskie łodzie podwodne topiące transporty państw osi w drodze do Libii oraz aparaty angielskie patrolujące ten szlak—ale przypuszczalnie także i przygotowanie jakiejś *inwazji* na tę wyspę.

Rzesza przez swoje rozgłośnie i prasę przyznaje, że Malta to " twardy orzech." Być może jednak, że gen. Student zdecyduje uderzenie na Maltę /spadochroniarsko-morskie działania są jego specjalnością/; niektóre pisma londyńskie nie wahają się nawet prorokować akcji Student-Kesselring dalej na południe, ku Aleksandrii i Suezowi.

Anglia docenia powagę sytuacji i zrobi napewno wszystko, ażeby nie tylko ochronić Egipt, ale ażeby *osadzić w miejscu Rommla*.

WSPÓLNA STRATEGIA

W Waszyngtonie posuwa się gładko sprawa wspólnej strategii Sprzymierzonych. Sprawy produkcji, sprawy rozdziału tej produkcji na różne fronty stawiane są przez Amerykan sprawnie. Istnieją podstawy do przypuszczenia, że produkcja samolotów amerykańskich wkroczyła na dobrą drogę. Przemysł amerykański opanował strajki. Energia amerykańska wyzwala się szybciej, aniżeli energie innych narodów.

Oczywiście, r. 1942 jest dla Ameryki dopiero *pierwszym rokiem wojny na serio*. Rezerwy ludzkie muszą zostać ujęte, organizacja przemysłu musi być postawiona mocno i bez wahań. Zadania są *ogromne* i zajmą napewno cały ten rok, a pewnie i dobrą połowę 1943 r. Dlatego Waszyngton podkreśla stale swoją *" long-distance strategy,"* strategię na daleką metę. Zarówno Roosevelt jak Churchill uważają, że *wojna musi jeszcze potrwać*.

Oczywiście, wiele nieprzewidzianych i niespodzianych rzeczy zajść może w tym roku czy na wstępie przyszłego, ale ani Roosevelt ani Churchill—co im należy poczytać za wielki plus—nie liczą na cuda i na niespodzianki. Uważają oni, że proces tej wojny musi dojrzeć, że *musimy wyprodukować więcej i lepszy sprzęt niż wróg*, że musimy go pokonać na niejednym teatrze wojny. Rok zatem 1942 to *rok pracy*, rok przyjmowania ciosów i parowania ich, rok cierpliwości.

Tej cierpliwości trzeba dzisiaj wiele. *Cierpliwość jednak i spokój są stanowczo surowcem wojennym pierwszej potrzeby.*

Londyn, 8 luty, 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Polska Marynarka Wojenna

10 LUTEGO DNIEM PRZYPOMNIENIA

10 lutego jest od 22 lat świętem Polskiej Marynarki Wojennej. Data dojścia Wojsk Polskich do morza stała się nie tylko dniem uroczystym dla marynarzy, ale jest ona przypomnieniem spraw morza i obrony morza dla całego społeczeństwa polskiego, uzewnętrznieniem łączności pomiędzy szeroką masą Polaków a okrętami i ich załogami.

To też 10 lutego, mimo zazwyczaj ciężkich warunków klimatycznych, był w Gdyni dniem nie mniej uroczystym, niż "Święto Morza." Brali w nim udział przede wszystkim Gdynianie, dla których obrona morska i działanie na morzu nie były czymś dalekim, "egzotycznym," letniskowym, dla których okręty Marynarki Wojennej były żywe, rzeczywiste, jak samo istnienie Gdyni. Na święto Marynarki Wojennej zjeżdżała się nadto elita działaczy morskich z całej Polski. Każdego roku co raz większe i większe tłumy zalegały nabrzeża podczas tradycyjnej defilady okrętów.

W dniu 10 lutego 1939 r., podczas oficjalnego przybycia "Orła," tłumy były nieprzebrane, przejęte, pełne entuzjazmu i rzetelnego wzruszenia. To ostatnie w niepodległej Polsce przypomnienie było już więc osiągnięciem konkretnym, było plonem ziarna, zasiewanego przez tyle lat, pionierstwa, częstokroć niewdzięcznego i bardzo żmudnego.

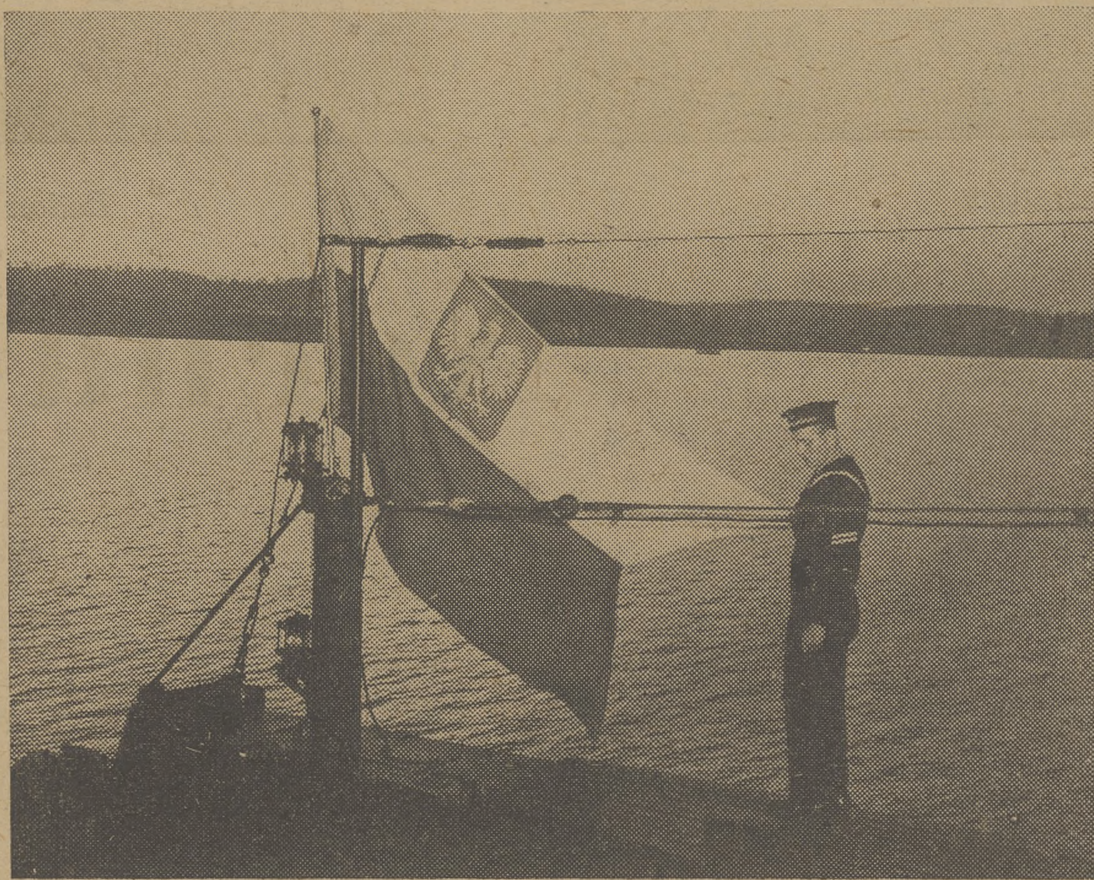
ZESTAWIENIE BOJOWE I POLITYCZNE

I choć nasza Marynarka Wojenna, na skutek różnych przyczyn, była jeszcze w stanie zalążkowym, choć bazy morskie nie zostały wykończone, a program rozbudowy wykonany, chociaż właściwie nie posiadała żadnego lotnictwa morskiego, czy współdziałającego, —spełniła ona we wrześniu 1939 roku swoje zadanie bez reszty. Obecnie zaś jest jednym z głównych czynników naszego stanowiska moralnego i politycznego w wojującym świecie.

Obok postawy wojska polskiego we wrześniu 1939 r., obok postawy tegoż wojska we Francji, obok wspaniałego wkładu naszych lotników, wzorowa służba i dzielna postawa Polskiej Marynarki Wojennej jest tym dorobkiem bezcennym sławy, trudu bojowego i krwi, która zdyskontuje się naszą przyszłością wobec Wolnych Narodów Świata.

To nic, że w porównaniu z potęgami morskimi Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, czy Japonii nasza Marynarka jest niewielka i składa się z stosunkowo małych okrętów. Jakość, suma służby i suma wysiłku jest i powinny być kartą asową w chwilach decyzji o przyszłości narodów Europy. Szaleńczy czyn "Orła" i jego późniejsze dzieje, samorzutne przejście "Wilka" przez Sund, boje kontrtorpedowców "Grom", "Błyskawica" i "Burza" u wybrzeży Norwegii, walki kontrtorpedowców pod Dunkierką i Calais, spotkanie "Pioruna" z "Bismarkiem", udział naszych kontrtorpedowców w trudnych zadaniach na Morzu Śródziemnym i częstokroć na Dalekiej Północy, czyny O.R.P. "Sokół" na Morzu Śródziemnym, wielomiesięczna, żmudna praca konwojencka i patrolowa polskich kontrtorpedowców, polskich okrętów podwodnych i ścigaczy, niepodawane jeszcze do wiadomości publicznej cyfry samolotów strąconych, czy "dosięgniętych" nieprzyjacielskich okrętów podwodnych—składają się na całość, która jest atutem, mocnym atutem.

Wszystko to zaś, choć dokonane pod taktycznym dowództwem brytyjskim, jednak w pełni sprzymierzonego waloru niezawisłości bandery, w pełni uznania lojalnego przez naszych potężnych sprzymierzeńców odrębności "Polish Navy." Stwarza to możliwość prowadzenia niezależnej polityki na przyszłość, co jest sprawą nie mniej ważną, niż samo istnienie w tej wojnie polskich okrętów wojennych. W tej formie istnienie w Londynie Kierownictwa Marynarki Wojennej, będącego dla Naczelnego Wodza morskim Sztabem Głównym, jest sprawą o kapitalnym znaczeniu w stosunkach obecnych i sprawą o zasadniczej doniosłości na przyszłość.



Bandera wojenna na nowym okręcie podwodnym, otrzymanym przez Polską Marynarkę Wojenną z Ameryki

MYLNE POGLĄDY

Pomimo tych tak oczywistych korzyści, wynikających z rzeczywistości morskiej, bojowej i politycznej, pomimo, że wojna obecna na szerszej arenie dostarcza niezmiernie dużo przykładów i nauk, czym jest panowanie na morzu i jaka jest rola Marynarki Wojennej w największej z wojen, prowadzonych kiedykolwiek przez ludzkość—pomimo to wszystko istnieją jeszcze na emigracji ludzie, którzy wygłaszają poglądy godne roku 1921 lub roku 1600. Dla nich nie ma nauki wojny, dla nich nie ma świadectw prawdy. Tak, jak na lądzie są jeszcze uparciuchy majaczące o "zasadniczej" trakcji konnej dla artylerii, jak na lądzie są jeszcze ludzie bredzący na temat, że "dywizje pancerne są niepotrzebne przy rozbudowie lotnictwa" /nazywa się to "ultra-postępowością"/, tak w sprawach morskich jeszcze tu i ówdzie zabierają nieśmiało głos ludzie niedokształceni, opowiadający o "zbędności okrętów wobec rozwoju lotnictwa."

Lotnictwo to jest wielka rzecz i nie potrzebuje obrony. Fakt faktem, że bez lotnictwa zarówno na lądzie, jak i na morzu, działanie jest niemożliwe, a przeprowadzane naprzekór tej niemożliwości kończy się klęską w rodzaju "Prince of Wales." Może w dalszym rozwoju lotnictwa, gdy zostaną zbudowane "okręty liniowe powietrza," o wielkim promieniu działania i o możliwości nie tylko niszczenia na morzu, ale i POSIADANIA morza, może wówczas taki problem powstanie, ale i wtedy okręty raczej schowają się pod wodę, niż znikną z oceanów.

Przy obecnej technice lotniczej, która zdaje się jeszcze przez czas dłuższy nie doczeka się aż tak wielkiego rozwoju, jednak takie POSIADANIE terenów wodnych jest niemożliwością. Samolot bez bazy wodnej, lotniskowca, nic jeszcze dokonać nie może /"nic" w znaczeniu zasadniczym oczywiście, nie zaś w doraźnym niszczeniu, które udawało się niejednokrotnie dzięki . . . zaniedbaniu obrony lotniczej przez stronę przeciwną. Gdyby KAŻDY transport morski mógł być zaopatrzony w eskortę myśliwców, straty floty handlowej w bitwie o Atlantyk zmniejszyłyby się niepomiernie/. Jest znakomitym środkiem walki, niezastąpionym, lecz "*nie utrzyma.*"

Dla tego też i dla innych przyczyn, znacznie przekraczających ramy tego artykułu, obecnie rozważając przyszłość, musimy myśleć o takiej rozbudowie Marynarki Wojennej i o otrzymaniu takich baz morskich na Bałtyku, abyśmy sprostali zadaniom, które na nas czekają. Wrzesień 1939 r., gdy mieliśmy niepomiernie małą flotę wojenną i nie mieliśmy żadnych prawie baz morskich, powtórzyć się już w przyszłości Polski nie powinien.

A i to Hel, baza morska, był placówką, która skapitulowała ostatnia "wobec beznadziejności dalszego oporu w obliczu ustania walki w kraju" . . . czasowo.

PRAWDA PRZYSZŁOŚCI

To też dzień 10 lutego stał się na emigracji ponownie dniem "przypomnienia." To też w dniu tym dla wszystkich, którzy jeszcze nie pojęli prawdy i nie docenili wkładu w przeszłość i teraźniejszość dla naszej przyszłości Polskiej Marynarki Wojennej, w dniu tym nawiązuje się znakomita podnieta do studiów, do poważnego traktowania zagadnień morskiej obrony, do zespolenia się z pionierami, życiem swoim dowodzącymi słuszności sprawy na pokładach okrętów, w ogniu walki i w trudzie ciężkiej, codziennej pracy marynarskiej.

Londyn, 30.I.1942 r.

KAZIMIERZ ŁUKIAŃSKI

Pińsk — Pieczora — Wielka Brytania

(Marynarze polscy z Rosji wśród nas)

Nieogarniony jest bezmiar polskiego cierpienia. Świat nie obejmuje jeszcze, nie może pojąć jak wielkie, jak nieprawdopodobnie ogromne jest męczeństwo wielomilionowego narodu. W codzienności wydarzeń wojennych, w kalejdoskopie wypadków, odbywających się dla każdego o miedzę, zaciera się ta prawda i trzeba dopiero jakiegoś wydarzenia, jakiegoś wstrząsu, aby cały bezmiar polskiej niedoli wyszedł na światło dzienne.

A pomimo to razem z ogromem ujawnionego cierpienia i niedoli uwidacznia się nieporównany duch naszego narodu, niezłomny, święty upór przetrwania i zwycięstwa. Im zaś było i jest gorzej, im większe przeciwności piętrzą się przed nami—tym stajemy się odporniejsi, tym szlachetniejemy i piękniejemy. Jaskrawy przykład tego twierdzenia dają nasi rodacy w Rosji i z Rosji. W przeciwieństwie do rozpolitykowanych do obrzydzenia rodaków z "wygodnych i funtowych emigracji," w przeciwieństwie do ich pasji gnębienia każdego, który jest innych przekonań niż właśnie oni w "tej chwili,"—nasi bracia z Rosji przepojeni są do głębi duszy jakąś świętą ekstazą wewnętrzną, wiarą pierwszych chrześcijan i patriotyzmem powstańców 63 roku.

Oto daleką, okrężną drogą przyjechała znowu do nas partia naszych marynarzy. Spotkanie z nimi, rozmowa z nimi dla każdego, kto czuje i myśli jest czymś znacznie więcej niż spotkaniem ludzi, którzy cierpieli wiele i którzy z tego cierpienia przyjechali walczyć dalej w inny sposób. Jest to przeżycie nieporównane, jest to wyrzut sumienia i przywołanie do rzeczywistości.

Rozmawiałem z nimi, wsłuchiwałem się w ich często straszliwe opowieści nędzy i cierpienia, które przede wszystkim wychodzą im na usta i wołają wielkim głosem, a w duszy rosła wielka pewność zwycięstwa i wielka otucha. Przecież oni podobni są do tych co walczą teraz i cierpią w kraju, przecież ich wiara i ich pewność, są tamtych wiarą i tamtych pewnością. I wówczas Londyn "polski," bibuła, pełna wzajemnych oskarżeń, kawiarnia pełna "zapracowanych dla dobra kraju rodaków," przeludnione urzędy i t.d. i t.d. zmalały w moich oczach. Uczułem się swobodniejszy, lepszy, dumny, że jestem rodakiem tych właśnie marynarzy, podoficerów i oficerów.

—Baczność! . . . Na prawo patrz! . . . Panie kapitanie na zbiórce tylu i tylu podoficerów i marynarzy . . .

Nie wstydzę się tego, że w oczach było mi bardzo wilgotno, gdy patrzyłem na owe czapy przedziwne, na owe "tułupy" jakieś cudackie, śmierdzące dziegciem /"To bardzo porządne ubrania, panie poruczniku. Wydali je nam w Buzułuku z polskiej intendentury. Jak je odeślą do Rosji to bardzo się przydadzą. Tam na wagę złota, na te mrozy"/. Nie wstydzę się tego zupełnie, że serce biło mi mocno od nadmiaru wzruszenia, gdy patrzyłem na twarze wynędzniałe i mizerne, na szerokie bary i wychudzone korpusy tych "co przetrzymali."

Po zbiórce otoczyli mnie kołem i pytali, pytali, pytali. Okrzyki dumy i okrzyki podziwu mieszały się z fachowymi uwagami i własnymi ich opowieściami, z których nie jedną, a dziesiątki można by napisać powieści, pełnych sensacji i okropności, gdyby nawet były tylko suchym opisem *prawdy.* Moje opowiadania o "Orle," o Norwegii, o "Piorunie," o "Sokole," o właśnie co dokonanym czynie zatopienia na patrolu przez nasze kontrtorpedowce dwu niemieckich transportowców, plątały się z dziwacznymi, dalekimi nazwami polskiej katorgi: rzeki Pieczora, Pinega, Ob, Jenisej, wyspy Nowa Ziemia, Ziemia Franciszka Józefa, nawet półwysep Kamczatka.

—Wielu z nas było we Flotylli Pińskiej. Później walczyliśmy w grupie generała Kleeberga, a . . . później niewola, więzienie, roboty w tajdze. Gdyśmy, po uwolnieniu dotarli do pierwszych polskich placówek, ogarnęła nas gorączka wędrówki jak najprędszej do polski oddziałów. Dniami i nocami, tygodniami, miesiącami, o głodzie i chłodzie, żyjąc niewiadomo z czego i niewiadomo jak, dążyliśmy Polacy do Polaków, a było nas tysiące, dziesiątki tysięcy. W pewnym małym mieście nad wielką rzeką syberyjską na dalekiej północy, gdzie noc to zima, a dzień to lato, a zawsze mróz, gdzie słońca nie ma, zebrało się nas tylu, że przewyższyliśmy ilość stałych mieszkańców. Obozując pod miasteczkiem cierpliwie, czekaliśmy na statki, które zabierały nas po kilkuset, przychodząc raz na tydzień.

Gdy wreszcie po długiej wędrówce, po ogromnych przestrzeniach Rosji, dobrnęliśmy do Wojska Polskiego, obdarci, często bosi i w łachmanach, wielu z nas na kolanach wędrowało do ołtarzy polowych i dziękowało Bogu za wielki cud powrotu do życia, powrotu na drogę walki o Polskę z bronią w ręku.

Trudno nam opisać, panie poruczniku, cośmy przeżywali w porcie brytyjskim, gdy nas wyładowano z okrętu angielskiego i gdy nas spotykały oddziały honorowe Marynarki i Lotnictwa. Za gardło coś ścisnęło tak mocno, że żadna siła nie wydobyłaby z nas głosu. Polskie mundury i polska komenda, marynarze, lotnicy. Ej, panie poruczniku, kto by nie wierzył, że dopłyniemy do Polski. Chyba zdrajca i człowiek zły! My nie wierzymy—my jesteśmy pewni!

Pomyślałem serdecznie, że razem z nimi pewni są wszyscy ci co walczą.

BOHDAN PAWŁOWICZ



Jeden z kontrtorpedowców polskich na pełnym morzu



Okręty polskie stawiają zasłonę dymną



Czyszczenie wyrzutni torpedowych

Ładowanie torpedy na polski okręt podwodny



Ćwiczenie artyleryjskie



Reperacja urządzeń radiowych w czasie patrolu

Nocna wachta na kontrtorpedowcu

Kotuła spał. Spał pół snem, pół jawą. Kiedy trzy godziny temu, po zejściu z pomostu i po wypiciu kubka kawy, kładł się do swojej koi, wiedział, że za niecałe cztery godziny trzeba będzie wstać i drapać się w ciemnościach na pomost. Deszcz nie deszcz, zimno nie zimno—na długie cztery godziny, na następną wachtę.

Życie na okręcie podzielone było teraz tylko na wachty. Czterogodzinne okresy czasu, nieznaczone nawet okrętowym dzwonem, jak to bywa w porcie. Cztery godziny służby, cztery godziny odpoczynku. Dzień w dzień, noc w noc.

Niezmienność tego ruchu czasu przerywały niekiedy długie dźwięki klaksonu—alarm przeciwlotniczy. Nie było wtedy wypoczywających, wszyscy na stanowiskach: przy działach, komorach amunicyjnych, w maszynowni, kotłowni, na pomoście. Ci, którzy stali na wachcie, byli "wygrani." "Przegrani" byli ci, którym klakson przerwał odpoczynek.

Konwój wlókł się sześcioma węzłami już od pięciu dni. Pogoda była średnia, taka "północno-atlantycko-jesienna." Pomieszczenie młodszych podoficerów, w którym spał Kotuła, mieściło się na dziobie. Przy większej fali, przez nieszczelnie dopasowane iluminatory wlewało się zawsze trochę wody, której nikomu nie chciało się mokrym szwabrem wybierać, tym bardziej, że przy cięższej pogodzie zastępca dowódcy przymykał na porządek jedno, a nieraz oba oczy.

W pomieszczeniu było gorąco. Luki, włazy, drzwi wodoszczelne pozamykane. Malutkie światło nocnej lampy ledwie, ledwie oświetlało środek pomieszczenia—tuż nad stołem. Po kątach kładły się chińskie cienie. Od czasu do czasu zadzwonił w szafce źle umocowany talerz, wytoczył się z kąta zaginiony przed tygodniem, zapomniany but, zachlupotała woda, pomieszana z rozlaną przy kolacji kawą. Wreszcie w ten duszny trochę błogostan wypoczynku wdarł się głos okrętowej rozgłośni:

—"Pierwsza wachta bojowa—przygotować się."

Kotuła obudził się. Jestem ubrany i mogę jeszcze poleżeć—pomyślał i ułożył się wygodniej. Ale nie na długo. Za chwilę wszedł do pomieszczenia bosman okrętowy i zapalił wszystkie światła.

—"Wstawać, wstawać! Zaraz odprawa wachty"—zawołał.

—"Dobra. Robi się!"—odkrzyknięto mu z koi.

—"Jaka tam pogoda, panie bosman?"

—"Nieźle, gwiazdy świecą. Wstawać"—odpowiedział bosman już ze schodów, prowadzących na pokład.

Marynarze zaczęli wstawać. Jedni raźnie, drudzy postękując i oczywiście dla fasonu rzucając angielsko-polskie przekleństwa. Wstał i Kotuła. Szybko nałożył buty, nadmuchał pas ratunkowy, nałożył kominiarkę i półpłaszcz. Koję przykrył kocem, z bakisty wyciągnął trochę sucharów i ostatnią tabliczkę czekolady. Był gotów. Wyszedł na pokład. Postał chwilę przy wejściu, aby przyzwyczaić oczy do ciemności, poczym ruszył na śródokręcie, gdzie zbierała się do odprawy nocna wachta.

Z dziobu i z rufy napływają marynarze. Załoga pokładowa zbiera się na prawej, załoga maszynowa na lewej burcie. Ustawiają się łamanym dwuszeregiem, "łapiąc" równowagę w miarę przechyłów okrętu. Podoficer ewidencyjny sprawdza obecność, wywołując z pamięci okrętowe numery.

—"Sto, sto jeden, sto trzy . . ."

—"Jestem!"—odpowiada przy swoim Kotuła.

Jeszcze kilka numerów. Wszyscy są.

—"Do objęcia wachty rozejść się"—pada komenda i dwuszereg rozłazi się w różne strony.

Kotuła idzie na pomost do dalmierza. Kotuła jest dalmierzystą. Jest z tego dumny, bo niekażdy ma oczy ze specjalną zdolnością stereoskopii. "Sokole oczy"—mówił sobie Kotuła, i czasami, pokryjomu, gdy nikt go nie widział, przyglądał się swoim oczom, które rzeczywiście miał ładne, ciemnopiwne, prawie czarne. Uśmiechał się wówczas sam do siebie i wyobrażał sobie, że jest "sokołem morskim." Nazwa ta utkwiła mu w pamięci po przeczytaniu kiedyś, dawno—jeszcze za rekruta—książki pod tytułem "Sokół morski."

Kotuła wdrapał się do "gniazda" dalmierzystów. Bosman mat Garba, od którego Kotuła przyjmował wachtę, dał mu swój wełniany chałat, doskonale chroniący od wiatru i zimna. Kotuła nałożył na kominiarkę telefon i zaczął nawiązywać łączność.

—"Centrala,—centrala—tu dalmierz 1, działo 1, centrala-działo 3, działo 3."

Uporawszy się z nawiązaniem łączności, po otrzymaniu meldunków, złożył oficerowi wachtowemu "rytualny raport":

—"Pierwsza wachta bojowa nocna wstąpiła."

Oparł się teraz o ramę swojego gniazda i zaczął badać "teren." Oczy przyzwyczaiły się do ciemności zupełnie. Torpedowiec szedł na lewym skrzydle konwoju, trochę z przodu, jak wysunięte giętkie ramię jakiegoś wielkiego polipa. Konwój składał się z kilkunastu statków, ustawionych w kratkę. Z pomostu widać było czoło konwoju i cały lewy bok. Reszty każdy się domyślał. Żadnego światła—wszystko zaciemnione.

Nic się nie zmieniło—pomyślał Kotuła. Tak jak przy zdaniu wachty o ósmej. Ile ich jest—zaczął liczyć. Jeden, dwa, trzy—i naliczył osiem statków. W telefonie coś zachrobotało . . .

—"Centrala — centrala — co meldujecie?"—zaniepokoił się Kotuła.

—"Śpij, śpij"—odpowiedziano mu z centrali artyleryjskiej, która była jednocześnie centralą telefoniczną i zbiornicą meldunkową.

—"Co tam, Kotuła?"—zainteresował się oficer wachtowy.

—"Wszystko w porządku, panie kapitanie, to tam w centrali."

—"No, dobrze"—uspokoił się kapitan, przepatrując lornetką horyzont.

Na pomoście było spokojnie. Od czasu do czasu oficer wachtowy rzucał jakieś słowo sternikowi, sygnaliści szukali czegoś w kodach, szeleszcząc kartkami; obsługa C.K.M.'ów wyjątkowo nie gawędziła. Słychać było wyraźnie szum w hydrofonie i tykanie żyrokompasu. Torpedowiec zwiększył obroty i skręcił, aby wykonać "*sweep*." Własny ślad torowy był teraz dobrze widoczny. Fosforencja skrzyła się w rozbitej pianie.

Robaczki świętojańskie — pomyślał Kotuła i zapachniał mu nagle las, sosnowy las. Śladem torowym, jak jakąś zaczarowaną drogą, popłynęły myśli Kotuły wstecz i w dal i zatrzymały się gdzieś nad Strużą, w rodzinnej wsi. Jaka tam u nich pogoda—zmartwił się nagle. Jutro, a nie, to przecież już dziś—niedziela—pójdą do kościoła . . . Mój Boże, żeby to móc być z nimi tam, na polskim nabożeństwie. Dawniej nie lubił długiej sumy i kazań, dzisiaj jakżeby się modlił, jakby słuchał . . . Gdyby tylko mógł być tam . . .

Pamięta, jak do Mszy sługiwał—i do wina i do mszału . . . Biała komża i czerwona pelerynka. A jakto machał nieraz na nieszporach trybularzem!

Co się też dzieje z proboszczem? Może go wywieźli. Te dranie wszystkich wymordują . . . Zacisnął pięści, rozgniatając suchara. I wszystko wykradną! Przypomniał sobie, co czytał i słyszał w radio o niemieckich rekwizycjach. A może matka coś nie coś przed Niemcem uchowa.

Matka . . . Coś bardziej jeszcze odtajało w sercu Kotuły. Mówiła zawsze do niego: "Stasiu." Pamięta, jak dorastał i jak dorósł, zawsze, zawsze—"Staś." Koledzy nazywali go Stachem, Staszkiem; jak wstąpił do marynarki, to został rekrutem Kotułą, później marynarzem, starszym marynarzem, a teraz jest panem matem Kotułą. Panny w Polsce nazywałyby go pewnie panem Stanisławem teraz, tu dla Angielek jest Stanl[illegible]m, a dla matki? dla matki zawsze—Staś. Chowa w bakiście razem z niewielu cennymi rzeczami, razem z Krzyżem Walecznych, który za Narvik dostał, i z kilkoma odłamkami bomby, list od matki, otrzymany tuż przed wyjazdem z Gdyni—ostatni list . . . "Kochany Stasiu, polecam Cię Opiece Matki Najświętszej" pisała w ostatnich słowach tego listu.

—"Kąt kursowy 145—białe światło. Melduje działo 3"—zaskrzypiało w telefonie.

—"Kąt kursowy 145—białe światło—melduje działo 3"—powtórzył mechanicznie Kotuła, nie bardzo wiedząc o co chodzi.

Sygnaliści i oficerowie na pomoście zwrócili lornetki na wskazany kąt kursowy.

—"Niezaciemniony iluminator"—skonstatował oficer wachtowy.

—"Oczywiście, tych handlarzy nigdy nie nauczy się porządku"—zakonkludował młodziutki, świeżo upieczony podporucznik.

—"Nadać sygnał na statek, żeby sprawdzili zaciemnienie"—rozkazał dowódca, który w międzyczasie znalazł się na pomoście.

Sygnaliści—jak zwykle—zrobili krótką naradę, czym sygnalizować, czy ratlerem, czy migaczem, czy też reflektorem. Wreszcie zaczęli wzywać "grzesznika" migaczem.

Kotuła wrócił do swoich myśli. Która to może być godzina? Zmienia się teraz dyżurny w hydrofonie—ci zmieniają się co godzinę. Machinalnie popatrzył na gwiazdy. Lubił je . . . Wiedział nawet, jak się niektóre z nich nazywają. Jeszcze przed wojną pływał z jednym porucznikiem-fanatykiem, który w nocy na wachcie "uczył" wszystkich gwiazd. Kotuła rozróżniał Oriona, Łabędzia, Wagę, Koronę Północy. Pamięta, jak imponował na urlopie dziewczętom, które odprowadzał późnym wieczorem . . . Przecież dla nich marynarz zawsze kieruje okrętem podług gwiazd.

Księżyca Kotuła nie lubił. Raz porucznik-fanatyk namówił go, aby spojrzał na księżyc przez dalmierz. Kotuła ujrzał olbrzymią srebrną tarczę, pooraną dziwnymi kanałami. Prawie, że się przeraził. Porucznik opowiadał coś jeszcze o górach i kraterach, na które już Kotuła nie chciał patrzeć, choć dumny był, że przez jego dalmierz takie rzeczy można obserwować. Bagatela! Dwudziesto-krotne powiększenie. Na kursie dalmierzystów wspominano mu też o budowie mikroskopów. Podobno trzystakrotne powiększenie! Coby to było, jakby tak popatrzeć na księżyc przez taki mikroskop, albo na gwiazdę.

Czy to prawda, że są gwiazdy gorące jak słońce, albo takie, na których żyją ludzie . . . Czy to jednak nie bujda. Ludzie czasem coś wymyślą i każą w to głupim wierzyć. Choć nie, kino, radio, a choćby i sama nawigacja, to nie bujda przecież! Mój Boże, jak to właściwie człowiek mało umie, wzdycha mimo woli Kotuła.

—"Dalmierzysta, co wam tak ciężko?"—pyta rezolutny podporucznik.—"Zmierzcie lepiej odległość do gwiazdy"—próbuje dowcipkować.

—"Nieskończoność" — odpowiada Kotuła dumny, że nie dał się złapać.

Nieskończoność — myśli dalej. Co to jest nieskończoność? Nauczono go regulować dalmierz na nieskończoność. Ma to na podziałce. Taka przewrócona ósemka. Kiedyś w katechiźmie uczono go, że Bóg jest nieskończenie mądry i nieskończenie dobry . . . Odległość do gwiazdy też nieskończona, ale jedne gwiazdy są bliżej, inne dalej. To nieskończoność też może być dłuższa i krótsza . . .

Szkoda, że nie ma tu tego porucznika-fanatyka od gwiazd. Może by to wytłumaczył. Siedzi pewnie teraz w niewoli u Niemców, a może gdzieś się ukrywa. Ile to też tego narodu namęczy się i naponiewiera teraz! Albo choćby i my—tygodniami całymi na morzu konwojujemy te łajby, człowiek się nie wyśpi, nie doje, namęczy się tylko i co z tego—żadna wojna, żadna bitwa. Choć to się przecież nazywa "bitwą o Atlantyk." Podobno jednak topią. Nam się to jeszcze nie przytrafiło, aby ktoś z naszego konwoju zatonął.

Tfu, tfu! — splunął Kotuła, oglądając się za czymś drewnianym, aby odstukać.

Kotuła chciałby być w prawdziwej morskiej bitwie, chciałby czegoś bohaterskiego dokonać. To, co przeżył w Norwegii, pod Dunkierką, w Kanale—to się nie liczy. To były przeważnie samoloty, albo ścigacze. Ale tak mierzyć do niemieckiego krążownika . . . O, jak dokładnie, jak starannie podałby odległość! Bum!!! I pierwsza salwa w cel! Czyja potem zasługa—oczywiście Kotuły! Może dostałby Virtuti, Waleczniaka już ma.

Co tak powiedzą w Budzyniu po wojnie, gdy wrócę z dwoma krzyżami. Po wysłużeniu w marynarce—to mogę zostać nawet senatorem. Tak, zdaje się, stoi w konstytucji. Choć mogą ją teraz zmienić—podobno teraz trochę jadą na tych "sanatorów." Jak tam też naprawdę w Kraju jest?

Wycięli Niemcy las, czy nie?—Mój las . . . Las był ordynacki, ale należał więcej do Kotuły, niż do ordynata. Kotuła znał go na wylot, wiedział gdzie chodzić na jagody, gdzie na grzyby; ileż to razy przynosił matce suche gałęzie, tak pokryjomu, żeby gajowy nie widział. Musiał się już mocno postarzeć, choć to był kawał zdrowego chłopa. A jak to go jeszcze żwawo gonił wtedy za tego zajączka . . . Ledwie mu umknął, chowając się w kopie siana. Jakby to było miło zagrzebać się teraz w pachnące siano.

Ale napewno bym usnął, a tu wachta—broni się Kotuła przed słodkim zapachem siana i usiłuje podnieść powieki, które są teraz takie ciężkie . . . Przypomina sobie, jak kiedyś kapitan, zastępca dowódcy, mówił na pogadance, jak należy opanowywać ogarniający na wachcie sen. Kotuła zna lepszy środek—po prostu trzeba potrzeć mokrym palcem za uchem. Nie chce mu się jednak wyjmować ręki z ciepłej kieszeni. Myśli wracają do gajowego, który idzie śladem torowym z dużym kijem w ręku. Idzie, idzie, niknie za kopą siana, czy też grzbietem fali . . .

Kotuła łapie się na tym, że się zdrzemnął. Trzeba jednak poślinić ucho. Ale cóż to—chyba niemożliwe! Rozgłośnia już skrzypi:

—"Druga wachta bojowa nocna—przygotować się!"

—"Napijemy się herbaty, co?"—mówi kapitan do podporucznika.

—"Tak jest, panie kapitanie. Spokojna i przyjemna wachta."

—"Jak pan będzie schodził, niech pan nie zapomni zapisać barometru i temperatury"—mówi kapitan.

—"Barometr, termometr, spokojna wachta"—mruczy pod nosem Kotuła, i dopiero teraz namacał w kieszeni czekoladę.—"Psiakość, tak się jakoś człowiek zadumał, że zapomniał o czekoladzie"—mówi do siebie. Będzie na drugą wachtę. Albo nie, zjem teraz—postanawia, zatapiając zęby w tabliczce.

Bosman mat Garba już idzie na zmianę. Kotuła daje mu chałat, kask telefoniczny, kawałek czekolady i zjeżdża na poręczach trapu na pokład. Szybko, szybko—do koi!

Czy warto zdejmować buty—nad ranem może być jakiś alarm, zastanawia się Kotuła. Nie, nie zdejmę, postanowił. Wie, że to lenistwo, ale zawsze sumienie spokojniejsze, że ma się jakąś wymówkę.

Zrzuca półpłaszcz i gramoli się na koję.

—"Gaście szybciej światło!"—woła ktoś do maruderów, manipulujących przy puszkach z kompotem.

Kotuła patrzy na sufit. Nad sufitem jest pokład, nad nim gwiazdy. Orion, Waga, Korona Północy . . . Księżyc . . . Nie, to gajowy się uśmiecha. Jest las . . . gajowy . . . robaczki świętojańskie . . . Polska . . .

Kotuła śpi.

BOHDAN WROŃSKI

Powrót z podwodnego patrolu

Piąty dzień patrolu. Z radością czekamy na wynurzenie. Już czas.

Dowódca wolnym krokiem, poważnie i stanowczo zbliża się, wchodzi do kiosku . . . . 12 metrów . . . . Stery plus 5. Idziemy do góry. Głębokość peryskopem zameldowana. Motor idzie zlekka burcząc.

Szybki rzut oka dookoła widnokręgu, potem na niebo. Spokój na morzu i na niebie. Wynurzenie! Znowu stery w ruchu. Dziobowy na plus, rufowy na minus. Idziemy.

—Szasować balasty środkowe—Dziób wyszedł, okręt kołysze się co raz więcej na fali.

—Stop szas! . . . —Już inne wrażenie. Pośpiech i bieganina po trapie . . . .

Na pomoście dowódca, oficer wachtowy i sygnalista badawczo i uważnie spoglądają naokół . . . Cisza . . . .

—Uruchomić wentylatory! . .

Radość. Spragnione płuca czekają na tę chwilę. Każdy czeka, by zapalić dawno niewidzianego papierosa.

Wentylacja chodzi, jak zwykle, postękując, jakby od nadmiernego wysiłku. Ma ona nie lada zadanie. Musi zaopatrzyć kilkanaście płuc w świeże powietrze, a wyrzucić nazewnątrz złe, zużyte. Dręczy się, kręcąc w kółko i zmienia tony w ciągłej sprzeczce z kadłubem. Do kadłuba przymocowane są statory wirnika, który nie chce biegać równo z nią.

Nawaliły bolce przy cylindrze. Znowu noc nieprzespana dla niektórych. Nie przejmując się jednak robią co mogą, ci, na których zawsze lecą gromy. Cóż poradzić, że oni są z "maszynowej"? Zato niech tu ktoryś z tych pokładowych spróbuje puścić parę z gęby, tu w Dieslach. Ot, miał by się z pyszna—z twarzą umalowaną ropą.

Walą młoty, brzęk narzędzi, przyciszone zmęczeniem rozmowy, spotniałe od wysiłku twarze, umysły głowiące się nad zawiłymi problemami reperacji, pochylone głowy i zgięte sylwetki ciał w zasmarowanych kombinezonach—oto widok dla tego, kto chce zobaczyć: "jak to wygląda."

Stefanowi już ścierpła rzadko używana w literaturze część ciała, a że chłop rozmowny to go bardzo kusi, by coś pogadać. I teraz już nie żałuje, klnąc z cicha na niewdzięczną śrubę. Tyle razy kręcił, stukał, a ona nic. A niech ją. . . . Jego koledze siedzącemu na dole nie bardzo się też życie uśmiecha, a że przybył z Francji, to nic dziwnego, iż klnie w trochę innym języku.

—Ty tam, przestań kląć na tę robotę, bo i ona się zdenerwuje, to nie ruszysz.

Mijają minuty, kwadranse—nic tylko ten sam stuk. Ale twarze, mimo połysku potu, jakieś weselsze, i kierownik co raz częściej nachyla się troskliwie. Śrub[illegible]ą. Przeborowane dziury czekają tylko na wbicie bolców. Jeszcze małą godzinkę przyjdzie popracować, a wtedy z przyjemnością odetchnie się świeżym powietrzem, obmyje zmęczone twarze, no i ogrzeje się, bo od otwartych włazów dobrze ciągnie zimne powietrze.

Żeby tylko to było trwałe i człowiek był pewny, że nie będzie potrzebował wstawać do tej samej roboty w nocy, podczas ładowania.

Ostatnia skończona! Nareszcie "doszło" i solidnie trzyma.

—Ty tam, a postukaj jeszcze młotkiem po tych dwóch, lepiej od razu sprawdź jak inne są dociągnięte.

—Robi się, ale może lepiej pokręcimy?

—Coś tam w głowie się chyba zakręciło, bo przed robotą były wszystkie sprawdzone, "jak mi życie miłe"!

—Cicho tam, nie gadać—grzmi głos kierownika—postukać i jeżeli dobre kończyć robotę. Chcecie by was smoluchami przezywali? Brudni pójdziecie na kolację? I tak już minęła godzina od końca zajęć.

Przygotowujemy się do zakotwiczenia, jak zwykle spokojnie podchodząc do mola na "oba stop". Plusk rozpruwanej kadłubem fali zamiera zwolna, przechodząc w cichy szept. Szept pytania, wahania lub może namysłu: co teraz nastąpi? Ciekawe! Zawsze to samo, zawsze taka plącząca się myśl o wypadkach, gdy okręt odczuwać zaczyna bliskość czegoś stałego, gdy z wolności i życia przeistacza się w niewolną istotę, zależną od więzów przestrzeni.

Stoimy na zbiórce, frontem do brzegu i tęskne myśli zwracając ku temu co ma być i czasem ku temu co było, gdyśmy na wolnych przestrzeniach, niczym nieskrępowani, czuli swobodę życia, uczuć i myśli. Gdyby tak można było zapomnieć o filozofii i umieć przerzucać wewnętrzne uczucie z jednego do drugiego, to może stalibyśmy się manekinami, które żyją nie czując piękna swobody, przestrzeni i którym nie potrzeba uroku innego życia, sprowadzanego do przeciwności życia na lądzie. Tak jakoś dziwnie wracać po kilkudniowym patrolu.

Milczenie i zaduma pierwszych chwil już znika, bo podchodzimy na odległość rzutki. Czy ktoś, kto nie żyje tu na okręcie, może sobie wyobrazić jak człowieka złości lub raduje takie głupie rzucenie linki z gałką? Ile tam koncentruje się wewnętrznych uczuć, ile ambicji i starań! Gdy ktoś źle rzuci, to jakby okazywał niezdarność całego okrętu, który tak, jak dziecko, potrzebuje podania ręki, by mógł stanąć, odpocząć, niewrażliwy na bezczelne trącania dobijających doń innych kolegów lub głupio małych łodzi i motorówek.

Dzięki Bogu dziś rzucał spec—Jurek. Ma już dłuższą praktykę w tym zawodzie i nawet kilka sukcesów: dwie wybite szyby w pomoście nawigacyjnym sąsiada, parę oczu podbitych i guzów rozdanych "lekką ręką" niezdarnym sąsiadom.

Równo, czysto i składnie suną cumy za cienkimi rzutkami. Winda już piszczy lekko z wrażenia, nie mogąc doczekać się na kolejkę swej pracy, by za chwilę stękać żałośnie i stawać, odpoczywając i klnąc nas, że ją zbyt męczymy. Cumy na windach naciągają się, suniemy zwolna bokiem. Po chwili nasz okręt stęknął, zakołysał się i wreszcie stanął, cichy, spokojny, jakby nigdy nic nie przeżywał.

Dwa gwizdki! Rozchodzimy się każdy do swego portowego zajęcia, wykańczając co jeszcze do załatwienia zostało. Na dziobie tłok. Każdy wchodzący klnie sprzątających, a ci wchodzących. Duch przekory jak zwykle dzieli tych, co są z wolnych wacht i tych, co muszą żałośnie patrzeć zamiast przebierać się do wyjścia. Że też to zawsze nogom brak spaceru, gdy trzeba przesiedzieć 24 godziny na służbie, a znowu gdy jest się na lądzie, to czyż nie rozkosznie jest "siąść na ławce i bujać się z przyzwyczajenia", jako że marynarz nie lubi chodzić.

—Nie lej mi mleka na głowę gdy się myję, bom nie baba!

—Przynajmniej wody nie będziesz tyle zużywał. Przecież i mleko mokre, to co szkodzi?

—Słuchaj Józek, nie rób z tata wariata, lepiej uważaj i nie walaj mi spodni, bo dziś Sylwester, i chcę pójść na "dans."

—Niech że cię, a ja myślałem, że to dopiero jutro Nowy Rok!

JERZY PAWŁOWICZ

Polski kontrtorpedowiec na patrolu podczas mrozu



Chwila odpoczynku po zejściu ze służby



Pogotowie artyleryjskie na polskim kontrtorpedowcu

Wymarzona noc na ścigaczu

Idziemy w trójkę. Szykiem strzały. Lotnik nazwałby go—kluczem. Jest czarno i ponuro. Zimny wiatr dmie. Lecz każdy się uśmiecha. Nawet Emil raz po raz poklepuje z zadowoleniem dwie lufy swoich C.K.M.'ów. A one odpowiadają radosnym pobrzękiem magazynków.

To nic, że noc . . . Okryta czarnym kirem i taka smutna. W sercach jest jasno i złociście. Bo to wyprawa pod brzeg wroga. To wypad piękny—polowanie na grubego zwierza. I stąd to ogólne, radosne podniecenie. Jak u myśliwych . . .

Wiatr i pęd wygwizdują żałosne trele. Smętne, jękliwe, rozbeczane . . . Ale Józek i Władek śpiewają obereczki—skoczne, ochocze i wesołe. Hej! Ha!! A Antek od czasu do czasu jodluje. I z szkocka pokrzykuje. Iiiiiiijjjuuuuuuuuhu!!! Bo czarne chmury nieba i czarne odmęty morza mamy na co dzień. Co noc! . . . To zwykłe tło naszych wypraw. Najlepsze! I to nic, że tak ponure i żałobne. Dla nas nie jest smutne. Ani straszne . . .

To nasza wymarzona noc! Noc polowań i wypraw . . . Noc przygód i spotkań . . . Wypadów, patroli i walki. Noc ścigacza!

A właśnie—taka noc. Idealna!

Więc jeden drugiego poklepuje. Więc każdy się śmieje. I śpiewa. Wiatr—sobie, a my—sobie. On—smętnie, my—ochoczo. I tak pędzimy. W trójkę—strzałą.

Sam ścigacz też w humorze. Rozradowany rechocze motorami. I aż go podrywa do większego pędu.

Lecz idziemy co raz wolniej. Brzeg już musi być blisko. Brzeg wroga. Wszyscy przycichli, a ścigacz, jakby żył i rozumiał. też ciszej mruczy.

I wszyscy patrzą. Patrzą oczami o źrenicach co raz większych. Rozszerzających się jak u kotów. Patrzą te oczy wszędzie, w okół. Dziwne oczy i prawie nieludzkie. Jak zgłodniałych wilków! I świecą silniej i silniej. One chyba nas zdradzą! Noc "zaciemniona" idealnie i tylko te błyszczące oczy.

I czarne, trzy sylwetki . . . Suną z cichym, a groźnym pomrukiem. Strzałą! . . .

* * *

Potężny błysk z lądu. I silny wstrząs nerwowy. Usłyszano nas!

Silny snop światła kładzie się na falach. I sunie powoli ku nam. Oblewa oślepiając jasnością ścigacz. I nas. I oczy. Ze straszną siłą i boleśnie wdziera się przez źrenice do mózgu. Kłuje i pali.

—Nałożyć okulary!

—Cel—reflektor! Odległość—2000. Ogień salwami! Uwaga!!

—Pal!!!

—To w prawo! Pal!!

W białą jasność wdzierają się kolorowe pociski. Z hukiem i radosnym rechotem. Prują powietrze. Gwiżdżą zwariowaną, diabelską piosenkę.

—Dobrze. Ciągły—pal!!

Reflektor zgasł, jak zdmuchnięta świeca.

Obok wytrysnął drugi strumień okropnych promieni. I sunie ku nam. I trzeci! . . . I jeszcze jeden!! Czarną noc i czarne fale smagają trzy bicze potężnych błyskawic. Oślepiających, strasznych, śmiercionośnych! . . .

A wokół—małe fontanny perlistej, skrzącej, rozświetlonej wody. Seriami, co chwila. Strzelają baterie nadbrzeżne. Jesteśmy za blisko. Zwrot!

Ścigają nas potężne promienie i małe, ale groźne wypryski na falach. Płyniemy w okropnej, zabójczej jasności. A wytryski lśniące co raz bliższe i bliższe. Pędzimy w czarność morza i nocy. Na północ. To nasza zasłona i ratunek.

Kilka małych zwrotów całym dyonem i wydzieramy się ze smugi świetlnej. Już słabej.

Zgubiły nas i zgasły. Noc stała się jeszcze czarniejsza, ale ja odetchnąłem swobodniej.

I znów suniemy w ciemności. Zgrana trójka trzyma się razem. W szyku strzały.

Chłopcy ładują magazynki. Pobrzękują pociskami. I z cicha pogwizdują. Radosne odprężenie. Gwiżdżą chłopcy i linki. I łopocze bandera na gaflu. Szumią prute fale. I grają motory.

* * *

Kilka błysków ratierem.

—Zmniejszyć szybkość!

I znów patrolujemy. Trochę dalej od brzegu i portu.

* * *

Wyjrzał z za horyzontu krąg księżyca. Olbrzymi i purpurowy. Skrwawił wokół morze i niebo. Wiatr rozpędza chmury. Raz po raz błyskają brylanciki gwiazdek. A księżyc płynie powoli w górę. Rubinowy blask żółknie, zbladł, ale świeci silniej i silniej. Księżyc już jest mały, ale srebrny i jasny. Wylał żywe srebro na fale. I drga połyskami świetlna ścieżka. Jak by to była żywa, lśniąca żmija. Potworny zaczarowany, księżycowy wąż. Fosforyzuje piana rozprutej powierzchni morza. I grzebienie fal. Krajemy srebrne, ruchome łuski żywego cielska wężowego.

Nagle cień jakiś przemknął wpoprzek jasnej dróżki księżycowej. Za nim drugi, trzeci . . . piąty.

—Ścigacze!!!—krzyczą wszyscy.

—Zwiększyć szybkość! Maksymalne obroty!!

Okręcik posłuszny warknął potężniej. Ruszył z miejsca jak chart spuszczony ze smyczy. I wszystkie trzy razem. Strzałą! . . .

—Nie widzieli nas. Napewno!

Nasz dywizjon nabiera rozpędu.

Emil poprawia się w wieżyczce. Sternik mocniej chwyta koło sterowe. I lepiej trzyma na kursie. Józek przylgnął do działka. Bolek też. I wszyscy się pochylili! Jak ułani w siodłach. W szarży! . . . Antek schował głowę w ramiona i skupił się. Każdy chciałby zmaleć. I chciał by jakoś zwiększyć szybkość. I szybciej i szybciej biją serca. I co raz prędzej pędzą trzy ścigacze. Strzałą! . . .

Motory już nie grają. Ani warczą. Świszczą. Świszczą straszliwie na pełnym gazie. Gwiżdżą napięte jak struny linki. A na gaflu trzepoce jak szalona bandera. Polska bandera! Trzy polskie ścigacze lecą do ataku! Okryte czarną peleryną nocy—niewidzialne . . . Skaczą w rozpędzie przez fale. Rozbijają dziobami grzebienie. Giną całe w srebrnej, skrzącej pianie. I znów wylatują ze świetlnego, rozwichrzonego grzywacza jak jakieś potworne, oszalałe delfiny.

A palce są już na spustach. I mocniej trzymane karabiny. Gotowe działka.

Zdartę pędem czapki, rozwiane włosy. Półotwarte, chciwe usta. Dzikie, pełne błysków żądzy oczy.

Cienie rosną! Robią zwrot. Zwiększają szybkość. Zauważyły nas! Dostrzegły tę trójkę rozpędzoną w zwariowanym ataku.

Błysk z pierwszego. Ich rozpoznawcze. Nie strzelamy. Jeszcze nie! Lecimy bliżej. Na nich! Na przecięcie kursu! Nie strzelamy! Szkoda jeszcze amunicji! Jeszcze chwila! Jeszcze sekunda!

Blaski! Niesamowity świst koło głowy. I znów! Strzelają!

—Cel pierwszy w szyku! Uwaga!! /Jeszcze moment. Wytrzymać!/

—PAL!!!

Runął strumień pocisków i granatów. Ze wszystkich trzech na pierwszego! Śmiertelny prysznic! Zbryzgał, pokrył cały E-boat. Ale i nam grają piekielną melodię pociski. Rąbią po pokładzie, nadbudówkach, burcie. Aż wióry lecą! To nic! . . .

Nagle blask ogromny! I huk! straszny! Jakby piorun strzelił w ścigacz wraży. Buchnął ogień potężny. E-boat w szczątkach i płomieniach wyleciał w powietrze!

—Hurra!!!

—Dostał w zbiornik!

—Cel drugi w szyku! Uwaga! PAL!!

Zapaliło się morze w okół i goreje. Czerwone, krwawe światło gasi promienie bladego księżyca. Olbrzymia, płonąca pochodnia. Maluje krwistą purpurą twarze, ścigacze, fale.

Zwrot całą trójką. Idziemy bliżej do ich szyku. Już nie jest zwarty. Są zdezorganizowani i jakby przerażeni. Zacinają się ich karabiny. Nasze grzeją bez przerwy. Aż lufy rozpaliły się do czerwoności. Zresztą wszystko jest zabarwione czerwienią. Jak w piekle! A trzy szkarłatne szatany o białoczerwonych banderach plują straszną posoką pocisków. Płonie morze! I okropne rozwydrzone twarze!

Trzy czerwone diabły pędzą na szyk wroga. Wdzierają się. Rozbijają ich. Rozgramiają. Gonią za pierwszym. Strzałą! I znów huragan ognia! Grzmi, wyje, świszczy! On robi gwałtowne zwroty. Wije się. Jakby prażony okropnie rozpalonym ołowiem. A trzy szatany smalą go bez przerwy. Ujeżdżają mu na karku. Już się nie wywinie. Zginie!

Zmniejsza gwałtownie szybkość. Motory dławią się i charczą. Staje.

Trójka zawraca i znów go okłada strasznymi biczami kul. I jeszcze raz. Krąży wolniej i bliżej. Przelatuje tuż koło jego burty. Obrzuca granatami. On już nie strzela.

Okropna kanonada! Eksplozja granatów. I buchnęła druga potężna pochodnia.

Innych ścigaczy już nie było. Tylko te trzy śmignęły wśród czerwonych płomieni. Zakurzyły, zadymiły i znikły. Jak prawdziwe Lucypery z piekła rodem! Strzałą! . . .

* * *

Księżyc wypłynął już wysoko. Żeglował—wśród gwiazd i chmur.

Spojrzałem na chłopców. Ciężko jeszcze dyszą, ale gadają i cieszą się. Jak ten pierwszy buchnął! A potem ten drugi! Rozpalone, zarumienione walką twarze. Cieszą się i cieszą. Ładują magazynki, a te odpowiadają radosnym, ale śmierć kryjącym pobrzękiem. Antek śmieje się i gada najwięcej.

Ale co to? Całe ucho ma skrwawione i krew ścieka mu po twarzy.

—Antek! Co wam?!

—E! Nic, panie poruczniku. Zadrasnąłem się.

—Ładne zadraśnięcie—pół ucha brak. Z.D.O.! Proszę mu zajodynować i zabandażować.

—A co z waszą ręką, Emil?!

—Dostałem, panie poruczniku.

—Czy bardzo boli? Chodźcie tu. Pokażcie. No, rana jak się patrzy. Emil, jak wrócimy do portu zaraz pójdziecie do szpitala. A teraz idźcie do Z.D.O. na pomieszczenie—niech wam zrobi opatrunek i krew zatamuje.

—Tak jest. Ale to wcale nie boli. Ale fajno żeśmy ich dostali. Ani razu mi się nie zaciął, panie poruczniku! Strzelały obydwa jak cholera!

—No dobra, dobra . . . Tylko z tą waszą ręką coś nie bardzo.

—Iiiii . . . nic nie boli. To "betka" . . . Jak babcię kocham . . .

* * *

Szarzeje. Na wschodzie nieba już jasno i gwiazdy tam pogasły.

Dowódca dywizjonu nadał sygnał:—czy wszystko w porządku?

—O.K.—odpowiedziałem.

W tym momencie na horyzoncie ukazał się czarny mały trójkącik.

—To żagiel. Kuter rybacki.

Ruszamy ku niemu. Alarm bojowy!

—Szybkość 35 węzłów. Szyk ten sam—strzały!

Pędzimy jak wichura. Jak trzy jastrzębie na upatrzoną ofiarę.

Odległość w oczach maleje. Trawlerek rośnie! Ucieka, zygzakuje to znów zmienia kurs na nas. Śmieszny. Zgłupiał ze strachu zupełnie. Nie wie co robić. Wreszcie bezradny staje. Zwalniamy szybkość.

—M.G.B. 205 dobić do trawlera. Zabrać jeńców. Zatopić statek.

Podchodzę do jego burty. Moi chłopcy mają "Tommy-gun'y" w ręku lub duże cow-boyskie pistolety, granaty i pałasze. Na głowach hełmy, a miny okropnie groźne i korsarskie. Nawet Józek, jak przepisowy pirat trzyma szablę w zębach. I szykują się do skoku.

Cała załoga trawlera wybiegła na pokład. Sparaliżowana strachem stoi i żadnego ruchu zrobić nie może. Tylko łapy trzymają wysoko, wysoko w górze! Niemcy-rybacy.

Chłopcy wskakują z dzikim okrzykiem indyjskim. Dopadają biednych, struchlałych rybaków. Wiążą im według wszelkich reguł Dalekiego Zachodu ręce. Szypra przyprowadzają do mnie.

—Muszę zatopić twój statek.

Usłyszawszy te słowa stary rybak zrozumiał, że nie ma do czynienia z jakimiś dziwnymi, niesamowitymi a groźnymi stworami czy zgoła z diabłami morskimi, lecz z normalnymi ludźmi. Język mu się rozwiązał. Zaczął mnie błagalnie prosić:—

—Błagam Pana. Niech pan tego nie robi.

—*Sorry, partner.* Muszę . . .

—Niech pan mi pozwoli zabrać trochę rzeczy ze sobą.

—*All right.* Dobrze. Śpiesz się.

A moi chłopcy też zabrali trochę "*fish and chips.*"

Statek zatopiliśmy rzucając mu parę *depth-charges* przy burcie. Podrzut morza był tak silny, że nasz ścigacz, który uciekał na pełnych obrotach i był już daleko wstrząsnął się, jakby miał czkawkę. Trawler powoli tonął. Dołączyliśmy do dywizjonu.

Słońce wypłynęło i wstał piękny, pogodny, złoty dzień jasno nam było, radośnie i rześko! I nawet wiatr szumiał weselej! Sunęliśmy, zostawiając trzy długie, długie strzałki białe. I trochę białego kurzu. Jak narciarze, spadający w dół śnieżnego zbocza! Strzałą! . . .

* * *

Na śniadanie miałem lovely "fish." *A lot!* Mnóstwo za dużo! I jeszcze mnie brzuch boli. Ale to nic! To—"betka"! Jak babci trepcie kocham! Ale fajno żeśmy ich dostali . . . Tej nocy nigdy nie zapomnę. Wymarzona—noc!

* * *

Obudziłem się rano ze strasznym bólem głowy.

EUGENIUSZ WCIŚLICKI

Strzelanie "na niby"

Już od kilku dni na naszym okręcie kursowały hiobowe wieści między "wtajemniczonymi"—będzie ćwiczebne strzelanie artyleryjskie. Słowo to wszędzie działało jak prąd elektryczny. No bo wszyscy wiedzą, jakie są z tym związane dla każdego, szczególnie dla artylerzystów "przyjemności."

I zwykle, jak to bywa—"wywołano wilka z lasu." W dniu, w którym oficjalnie ogłoszono strzelanie, natychmiast przystąpiono do przygotowań. Miało być morskie, przeciwlotnicze, nocne a do tego miał nam towarzyszyć drugi kontrtorpedowiec polski, nasz kolega, ale bądź co bądź zawsze współzawodnik i to groźny, posiadający na swoim pokładzie starą wiarę samych wilków morskich, którzy z niejednego pieca chleb jedli.

Nasza chluba okrętowa, czterdziestka pom-pom, pod bacznym okiem swego opiekuna działonowego mata uległa momentalnemu przeobrażeniu. Wysunięte błyszczące cztery lufy zadarte do góry zdawały się do nas przemawiać: nie bójcie się chłopcy, zrobię swoje—możecie na mnie polegać!

Następnego dnia rankiem, po odkotwiczeniu, udaliśmy się na stały poligon artyleryjski, eskortowani przez parę samolotów, które miały nam służyć jako cel.

Pierwszy alarm zarządzono około godziny dziesiątej. Szkocka pogoda, tak niełaskawa zwykle i sprawiająca nieraz złośliwe niespodzianki, tym razem nieco się udobruchała. Ciekawskie słońce wyjrzało dyskretnie zza parawanu chmur.

Tymczasem przy "studwudziestkach," które miały pierwsze strzelać, panował gorączkowy ruch. Ponieważ dzieliła mnie spora odległość od działa rufowego, mogłem tylko po żywej gestykulacji działonowego wnioskować, jak "bardzo gorąco" robi się moim kolegom. Od czasu do czasu po przez silny wicher dochodził do mnie jego tubalny głos. Wkrótce wszystkie działa zameldowały swoją gotowość. Na przednim maszcie wywieszono "barana" zapowiadającego strzelanie.

Z rozkazem otwarcia ognia rozpoczęło się istne piekło. Raz po raz kropili nasi do umieszczonego na długiej linie z tyłu za samolotem gumowego "rękawa," który mknął szybko po błękitnym niebie otoczony wieńcem wybuchających pocisków. W chwili, gdy samolot przelatywał nad nami, ogień przerwano. Tym razem uszedł cało.

Z dumą spoglądaliśmy na nasze działa, dla których to nie jest pierwszyzna; możemy im z całym spokojem powierzyć obronę w razie napaści nieprzyjaciela. Niemożliwością było by wprost, żeby samolot mógł wyjść z pod takiej siły celnego ognia, oddawanego jednocześnie z sześciu luf co cztery sekundy.

Następny miał strzelać drugi ORP idący przez cały czas z tyłu za nami. Czekaliśmy z zainteresowaniem co też pokażą nasi koledzy, czy uda im się zestrzelić worek, jak na ostatnich ćwiczeniach?

Wkrótce mieliśmy możność naocznie przekonać się, że to nie były tylko opowiadania, zwykle bardzo rozmownych i posiadających bujną fantazję marynarzy. Z chwilą otwarcia ognia, pierwsze pociski rozprysnęły się tuż koło "rękawa." Pięknie. Następne gorzej, ale to pewnie dlatego, że lotnik zaczął sprytnie manewrować. No, prestige naszego okrętu został uratowany—wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

Dalsze strzelanie odbyło się przy udziale broni małokalibrowej, używanej wyłącznie na małą odległość; taktyka obrony stosowana obecnie bardzo często. Olbrzymia wprost siła ognia połączona z bardzo wielką dokładnością padania pocisków stwarza jakby stalowy puklerz osłaniający jednostkę bojową. Celowniczowie z niezwykłą dokładnością poruszali dwoma korbami: podniesieniową i kierunkową. Usłyszałem jeszcze tylko krzyk Wacka, który się zwracał do jednego z celowniczych:

"Te, Franek, zrób go na szaro po warszawsku. Spuść mu manto w te i we wte". To kumpel celowniczego tak czule przemawiał mu do serca.

Tymczasem przez telefon padł rozkaz: "Trzymać na celu"!

Nagle rozkaz: "ognia!"

Czterdziestka rozpoczęłą równomiernie pracować swymi czterema taktami, basowym głosem: "Pom-pom, pom-pom, pom-pom". Spojrzałem w górę. Samolot robi akuratnie nalot na nas. Świetlne pociski uwidaczniały raz po raz tor lotu serii. Lotnik zbliżał się co raz to bardziej. Zdawało mi się, że pociski nigdy do niego nie dolecą. Lufy szły co raz wyżej, co raz wyżej. Jeszcze cztery, trzy, dwa, jeden stopień. Stop. Kąt graniczny, lufy wyżej nie pójdą. Rękaw strzelniczy przeszedł ponad nami sunąc w powietrzu. Pomyślałem sobie: "Czekaj, gdyby to był samolot, dawno by już leżał roztrzaskany na wodzie".

Na plecy biednego Franka zaczęły się sypać raz po raz koleżeńskie razy pozostawiające po sobie ślady pięciu grubych, marynarskich palców. Nikt by tego nie zdołał wytrzymać. Nic też dziwnego, że biedak musiał rejterować. Nawet stojący przy nas szef artylerii, który nikogo z zasady nie chwali—porzucił swoją flegmę i krzyknął:

—"Pierwszorzędnie, byłoby jeszcze lepiej, gdyby nie sadza z komina, która nagnana wiatrem zapruszyła oczy celowniczemu".

Z kolei strzelały "siekacze", o których z góry wiedzieliśmy, że wstydu nam nie zrobią. Szczególnie lewy, pod dowództwem mata "Zuzi" (nazwanego tak, ponieważ bardziej przypomina nam niebieskooką dziewczynkę niż marynarza), zawsze wykonuje swoją serię w rękaw, który z pod takiego obstrzału wychodzi posiekany jak sito.

Tym razem było to samo. Tradycja została zachowana. Wieczorem, w drodze powrotnej zrobiliśmy parokrotnie zasłonę dymną, która trzymała się tak długo i na tak olbrzymiej przestrzeni się rozpostarła, że zamiast wrócić do swej bazy, zboczyliśmy nieco z kursu i zajechaliśmy do zatoki, gdzie w ogóle żywej duszy nie było.

Podobno, jak niektórzy twierdzili, było to zrobione na złość wszystkim Betty, Agnieszkom, Helenom i innym nadobnym szkockim uwodzicielkom. . . .

ANDRZEJ DOMICZEK

Nowości lotnicze

Nie ulega wątpliwości, że Rommel ma poważne sukcesy. Nie przesądzają one sprawy ostatecznego wyniku kampanii libijskiej, nie mniej warte są zastanowienia.

Zarówno angielskie, jak i włosko-niemieckie komunikaty wojenne wspominają o przewadze lotnictwa brytyjskiego. Dla zwykłego śmiertelnika porównanie sukcesów osi z przewagą lotnictwa brytyjskiego wydaje się niekonsekwencją. Wydaje się również nieprawdopodobne, by po ciężkim nalocie kilkunastu dywizjonów bombowych na pancerną jednostkę zgrupowaną w dodatku na jednej jedynej drodze, pozbawionej naturalnych osłon, taka jednostka mogła w dalszym ciągu działać, ba! nawet działać zwycięsko. Zaczynają się domysły, często nawet brak wiary u czytelników komunikatów wojennych. Padają też takie pytania: dlaczego bombarduje się kolumny amunicyjne i transporty z paliwem a nie po prostu same czołgi? Gdy czołgi zostaną zniszczone, kolumny zaopatrzeniowe nie potrafią robić *blitzkriegu* samą amunicją czy benzyną!

Wszystkie rzeczy jasne jak słońce w teorii, w praktyce mają tło wysoce złożone.

Niedawno, bo 1.II. b.r. ukazał sie w "*Sunday Times*" bardzo interesujący artykuł P. Masefield'a p.t. "*Air lessons from Rommel's success*". Autor, znany i ceniony korespondent wojenny, równocześnie taktyk /brytyjscy korespondenci wojenni są dobierani z pomiędzy taktyków władających także piórem/ staje na stanowisku, że samolot tak długo nie będzie mógł rozstrzygać o sytuacji na polu bitwy, póki nie będzie w stanie sam, bez pomocy z ziemi, przełamać oporu przeciwnika, w tym wypadku—[ego] zmechanizowanych sił.

[P]ogląd wydaje się słuszny. Jeżeli chodzi o lotnictwo działające na korzyść wojsk na ziemi i przeciw ziemi, rozwój techniczny tego lotnictwa nie stoi na wysokości zadania. Czołgi wzięły górę nad samolotem. Na przykład niektóre samoloty brytyjskie jak "Hurricane" czy "Beaufighter" dałyby sobie radę z czołgiem z 1939 roku, czy nawet z 1940, jednak dziś ich 20 m/m pociski wyrzucane z działka szybkostrzelnego nie przenikają pancerza nawet średniego czołga. Tak samo ma się sprawa z samolotami niemieckimi w odniesieniu do czołgów brytyjskich. Zarówno pancerz, jak i inne zmiany techniczne uodporniły nowoczesny czołg nie tylko przeciw pociskom lotniczej broni mechanicznej, lecz nawet przeciw bardzo blisko wybuchającym bombom.

Z tego wniosek, który artykuł P. Masefielda potwierdza w całej osnowie: albo obecne lotnictwo musi z góry ograniczyć się tylko do wypełniania zadań pomocniczych na korzyść armii, albo—należy wprowadzić na pole bitwy nowe samoloty, specjalnie do walki z czołgami przystosowane.

Wypowiedziane tezy bynajmniej nie są nowością. Postawiono je już jakieś 3 lata temu po doświadczeniach 1939, a wzięto się do ich realizowania po 1940. Zdaje się, że pierwsi Rosjanie, nie wierząc (może i słusznie) w skuteczność nurkowca, zaczęli poszukiwać typu mogącego skutecznie walczyć z bronią pancerną. Czy udało im się go wybudować niewiadomo. Mówi się, że pod koniec roku 1941 eskadry tego typu działały na froncie południowym. Nic bliższego nie wiemy o osiągniętych przez nie wynikach.

Typy takie muszą być potężnie uzbrojone, oraz doskonale opancerzone. Opancerzenie samolotu to też rzecz nie rewelacyjna. Lotnictwo szturmowe 1918 roku, zarówno po stronie niemieckiej jak i po stronie aliantów było opancerzane. Opancerzone są również i współczesne samoloty, szczególnie nurkowce i myśliwce. Naturalnie, nie należy sobie wyobrażać samolotu opancerzonego w postaci latającego czołga. Pilot nie patrzy przez peryskop wieżyczki osłoniętej stalową blachą. Po prostu opancerzane są tylko niektóre części techniczne, jak również pomieszczenie załogi, tam gdzie dojście kuli byłoby najbardziej szkodliwe. I tak n.p. wszystkie myśliwce mają płytę pancerną za głową pilota, chroniąc ją od strzału z tyłu. Naturalnie, pancerz ten dla samolotu pola walki musi być bardziej kompletny.

O ile tedy pancerz na samolocie, to rzecz znana i stosowana, to uzbrojenie w cięższe działo szybkostrzelne o kalibrze, szybkości początkowej i ciężarze działa 75 m/m, gdyż tylko takie działo da rezultaty przeciw czołgom — nie było jeszcze stosowane praktycznie.

Jakież są zadania, które na polu bitwy powinno wypełnić lotnictwo? Można je podzielić na trzy zasadnicze działy: rozpoznanie, odosobnienie pola bitwy, wreszcie—interwencja.

Zaczniemy od interwencji. Interwencja to działanie bezpośrednie przeciw nieprzyjącielowi, to niejako walka wręcz. W czasach, gdy walkę rozstrzygała rzeczywista siła mięśni i wyrobienie człowieka, rycerz średniowieczny rozbijał zbroję przeciwnika żelaznym młotem, albo przecinał mieczem ukutym z lepszej, niż pancerz stali. Dziś miecz, czy młot zastępuje pocisk. Pocisk musi przebić pancerz, musi wybuchnąć wewnątrz pancerza. By wypełnił zadanie musi trafić. Przy szybkości z jaką się cel porusza—musi być wieloraki. Działo musi mieć właściwości dubeltówki przy polowaniu na szybkie kaczki.

Niemcy stosują inny system. Zamiast pocisku wyrzuconego z działa wolą bombę. Dlatego z uporem stosują nurkowce. Nurkowce mają jednak wiele stron ujemnych. By uzyskać pewne rezultaty, trzeba ich używać masowo. Trzeba używać bez względu na straty, a są one zawsze olbrzymie, gdyż nurkowiec jest doskonałym celem dla obrony przeciwlotniczej z ziemi, jest łatwym łupem dla myśliwca. Poza tym z czystym sumieniem powiedzieć można, że 80% skuteczności lotnictwa nurkowego polega na działaniu moralnym. Realne rozwiązanie leży raczej w cięższej broni, niż cięższej bombie.

Wracamy jednak do Libii i jej spraw. Zarzuty opinii publicznej zawierają się w pytaniach: dlaczego dowództwo brytyjskie nie wiedziało, że Rommel jest aż tak silny? Mówi się o przewadze lotnictwa brytyjskiego w powietrzu, gdzież więc samoloty rozpoznawcze? Czemu nie odkryły na czas zgrupowań?

Dalsze zarzuty tyczą już innej dziedziny zadań pola walki: zgadzamy się że lotnictwo brytyjskie nie może walczyć z czołgami niemieckimi, dlaczego tedy nie zdoła odciąć zaopatrzenia od pancernych kolumn Rommla? Pocisk samolotu nie przebija pancerza czołga, lecz chyba z łatwością przebije cienki pancerz wozu amunicyjnego lub blachę cysterny z benzyną. Kolumny, zgrupowane jak w Libii, na jednej jedynej drodze są chyba także dość łatwym celem dla bombowców? Coś tu nie w porządku!

Pierwszy dział pytań tyczy zadania rozpoznania, drugi natomiast "izolacji"—odosobnienia pola bitwy. Są to zadania par excellence — lotnicze.

Rozpoznanie lotnicze zarówno na szczeblu taktycznym, jak i strategicznym to sprawa obecnie bardzo delikatna i bardzo nieprosta. Z punktu widzenia technicznego właściwie jej w 100% nie rozwiązano. Weźmy pod lupę rozpoznanie pola bitwy. W roku 1918 nie sięgało ono głębiej w linie wroga jak 15-40 kilometrów. Dziś musi sięgać po 150, a może i 200 za front. Szybkość posuwania się kolumn pancernych czy motorowych jest bardza duża. Odkrycie ich w odległości jednego dnia marszu wcale nie rozwiązuje sprawy. Gdy zostaną tam wykryte, już jest zaskoczenie.

Teraz jeżeli o samoloty chodzi rozpoznanie powinno być prowadzone maszynami, które mają: daleki zasięg, są dość szybkie, by zawsze ujść myśliwcom, gdy zaś zostaną zaskoczone, są w stanie bronić się samodzielnie. Tedy szybkość ich musi przewyższać i to znacznie szybkość samolotu myśliwskiego, a uzbrojenie powinno być od myśliwca bezwzględnie silniejsze. Takiego samolotu chwilowo jeszcze nikt nie zbudował, a jeżeli zbudował, to nie w masowej produkcji. Czyli jest to sprawa przyszłości. Wobec tego improwizuje sie rozmaicie, używając do rozpoznań takich czy innych bombowców, albo wręcz myśliwców z wbudowaną kamerą fotograficzną. Tymczasem samotne bombowce nie mogą latać swobodnie głęboko w terenie nieprzyjacielskim w jasny dzień (nocne rozpoznanie nie daje zadawalających rezultatów), gdy znowu myśliwce przeważnie posiadają niezwykle skromny zasięg. Za wyjątkiem dwóch czy trzech typów przeciętny myśliwiec dłużej jak godzinę nie utrzyma się w powietrzu. Bombowiec idący na rozpoznanie pod osłoną, jest zależny od zasięgu myśliwców.

Dochodzi do tego sprawa lotnisk. Samolot o dużym zasięgu, a więc obładowany paliwem, ciężko uzbrojony, a więc dźwigający kilka czy nawet kilkanaście k.m. czy armatek z amunicją, automatyczny a wcale skomplikowany sprzęt fotograficzny, często w dodatku kamerę telewizyjną nie jest lekki. Wymaga lotniska z dobrą bieżnią, conajmniej betonową. Takie lotniska znajdują się jedynie na tyłach wojsk walczących. Wprawdzie w tej chwili Amerykanie n.p. używają lotnisk "składanych," których nawierzchnie są montowane doraźnie z płytek aluminiowych czy bakelitowych, lecz istnienie takiego lotniska nie rozwiązuje jeszcze wcale zagadnienia budowy odpowiedniego samolotu.

Przejdziemy do innej grupy zarzutów, zarzutów tyczących "izolacji" pola walki. Izoluje się je od strony nieba, przeciw nieprzyjacielskim samolotom i na ziemi, nie dopuszczając zaopatrzenia do wojsk walczących. Otóż tego drugiego nie można w sposób dostateczny obecnymi środkami przeprowadzić. Zniszczenie 30% sprzętu—to marzenie wodza. Przecież bombardowanie skuteczne przeprowadzić można jedynie w dzień, a przy stosowanej silnej obronie przeciwlotniczej, tylko z dużych wysokości. Zaś wysokość jest funkcją trafności. Zaskoczenia z lotu koszącego są bardzo praktyczne i dają znakomite wyniki — ale można je stosować rzadko. W sumie z odcięciem zaopatrzenia od pola walki jest podobnie jak z blokadą. Zawsze coś przeciecze, a to coś to bardzo dużo.

Jaki wniosek z całości rozważań? Samolot współczesny nie stoi jeszcze na takiej wysokości technicznej, by mógł skutecznie wypełniać zadania, które mu powinny przypaść w udziele.

Rozwój broni mechanicznej naziemnej poszedł szybciej, niż rozwój broni powietrznej. Jest to zrozumiałe. Rozwiązanie konstrukcyjne wymagań stawianych sprzętowi ziemnemu jest łatwiejsze i nie staje wobec tylu złożonych trudności co konstrukcyjne problemy samolotu.

W rezultacie zasada postawiona przez kpt. Lidell Harta "tylko czołg jest najlepszą bronią przeciwczołgową" pozostaje nadal w mocy.

ADAM STERBAŁŁA

Bez black-outu

Dotarły do mnie echa słów, pisa[n]ych na tych łamach. Jedno przy[sz]ło zdaleka z morza—głos naszej marynarki. Drugie—z powietrza, głos naszego myśliwca. Obydwa stanowią wielką zachętę, dają natchnienie, obydwa umacniają wiarę w człowieka. Za to "w imieniu służby"—serdecznie dziękuję.

Kochani "marynarze wojenni i handlowi." Nie gniewam się wcale na Was za to, żeście nie umaczali pióra w czarnym atramencie, tylko po prostu przekazali dla mnie ustnie "message" takiej mniej więcej treści: "Kierunek dobry. Ciągnąć pod wiatr. Poprawić kurs. Pełne obroty." *Wiem, że na morzu macie zgoła inne zadanie, aniżeli płodzenie korespondencji, że twardy Wasz żywot codzienny to—walka z huraganami i falą, z torpedą podwodną i nurkującym bombowcem, walka o imię i sławę naszej Marynarki, walka o Polskę.*

Dziwię się nawet, że zwróciliście uwagę na prostą walkę z bałwanami typu naziemnego, która także stanowi jeden z etapów walki o mądrą wolność. Gdy przypadkiem znajdziecie się czasem w porcie "somewhere in Britain," wtedy ciągnie Was ląd tak silnie, jak po trzech dniach ciągnie Was z lądu na morze.

Byłem w takim momencie dwa razy u Was. Żal mi było zatrzymywać Was dłużej choć minutę, mimo że zaczęte rozmowy były tak ciekawe. Widziałem bowiem, że zerkacie w czasie rozmowy dyskretnie, lecz czule na "białą twarz" płci odmiennej, oczekującą swego polskiego "bonnie," który był "over the ocean," a teraz jest "back."

O Waszych odpowiedzialnych zadaniach, niestety, ciągle jeszcze mało, za mało się mówi. A jeśli się już mówi to czasem takim "pompatycznym" stylem, przed którym wzdrygają się proste, szczere serca. Słyszałem niedawno taką mowę. Czego tam nie było? . . . Byli "błękitni chłopcy" i "lazurowa fala dalekich mórz" . . . i "jutrzenka zmartwychwstania." To była wielka pomyłka. Tak mówić nie wolno do ludzi, którzy codziennie wychodzą na stałe spotkanie z niebezpieczeństwem. Nie lubicie takich słów. Wiem, że boli Was i drażni, gdy zwraca się ktoś do Was zestawiając dwa słowa: "my i wy" . . . *Nie znosicie tego, akcentujecie to na każdym kroku i słusznie. Mówicie: "My to jedna rodzina polska na lądzie, na morzu i w powietrzu. My to ludzie walki o Ojczyznę wielką i sprawiedliwą . . ."*

Kochani. Nie błękitni, ale umorusani, opaleni, spracowani Koledzy Marynarze. Bez pustych frazesów: jesteście naszą sławą i radością. Musicie o tym wiedzieć, idąc w morze. I jeszcze coś: musicie wsłuchać się w odgłosy strzałów polskich z Afryki, musicie patrzyć w górę, skąd osłania Wasz konwój polski dywizjon myśliwski.

Z takiego dywizjonu myśliwskiego dotarł do mnie drugi głos, głos "rezerwisty bez cenzusu," lotnika M. stacjonowanego na południu Anglii. Oto jego słowa:

"Osobiście jestem niezmiernie wdzięczny za poruszanie tematów, które stanowią może największą naszą bolączkę . . . Zwolenników mej miary będzie można liczyć na dywizje z którymi, gwarantuję, będzie pan mógł śmiało zrobić inwazję."

Drogi Kolego. Ściskam serdecznie ręce za te słowa szczere i dobre. Obawiam się tylko, że z dywizjami będzie trudniejsza sprawa, bo musiałbym zostać "generałem czasu wojny," a zanim załatwią to na drodze służbowej, to wojna może się skończyć. Co do inwazji, to warto się zastanowić, tym więcej, że jak wynika z dzisiejszego felietonu, dysponuję dwoma podstawowymi elementami najazdu: mam poparcie floty i lotnictwa. Armia lądowa pójdzie napewno z nami, jak wynika z ostatnich listów ze Szkocji. Poza tym zdradzę Wam pewną tajemnicę: w "Rubensie" mam znajomego przy windzie—to mnie wywinduje na potrzebne stanowisko.

M. pisze dalej zacnie, spokojnie i odważnie:

"Szary człowiek będzie zawsze wdzięczny za inicjatywę niszczenia destrukcji i czynienia nieuzasadnionych wyjątków w społeczeństwie. Młócić trzeba dokładnie i miarowo, aż wszystkie plewy odprysną, a zostanie ziarno czyste i właściwe, z którego może nareszcie doczekamy się lepszego plonu. Jeżeli sił zbraknie—pomożemy, a głos cepów niech płynie po całej Polsce, Anglii, po całym świecie, gdzie tylko polska dusza przebywa."

Kochany "fighterze." Młócka trwa, tylko czasem jeszcze głosy "cepów" przeszkadzają w lepszym plonie. Ma Pan rację, że plewy muszą odprysnąć.

"Niech wszystkie Barbary, podobne tej jednej usłyszą, niech ich wątroba ruszy i żółć zaleje. Niech się odzywają, niech piszą, abyśmy wiedzieli, że prawda w oczy kole i pożądany przynosi rezultat. My ludzie szarego dnia znosimy dużo, aż nadto. Nie mogliśmy jednak dawniej mówić, bo nam usta zamykano, a dzisiaj jeszcze trudno, bo boimy się własnych słów."

Oj tak, Kolego, tak. Święty Antoni-Bogu-sława-cenzorze miej nas w opiece.

"My wiemy dużo złego i dobrego, lecz nikt nie pytał, a za odwagę dawniej straszono, odbierano pracę, wyrzucano na bruk—za prawdę, tylko za prawdę. Represje szły ze wszech stron tak długo, aż człek znużony i sponiewierany przez braci zwiesił głowę na pierś, w której tliły się resztki człowieczeństwa."

Czytajcie. To przejmujące w swojej prostocie wyznanie. To zwykła tragedia człowieka polskiego. W tych słowach tętni żal i wyrzut pod adresem tych wszystkich, którzy nie potrafili kierować ludźmi uczciwie i sprawiedliwie. Wczytujcie się w te słowa: przyszli, nowi wojewodowie, starostowie, czytajcie naczelnicy wydziałów, przyszli dyrektorowie, urzędnicy. Czytajcie:

"W polskim gnieździe musi być porządek, a jest dużo do zrobienia. Miejmy usta otwarte, ale dlatego, aby w każdej chwili rąbać prawdę. Jeżeli czyjaś fałszywa duma odzywa się tylko przez nagą prawdę urażona, cóż mają powiedzieć ci biedacy, którzy na własnej skórze to czują? Zbyt wiele nadętej inteligencji między nami o zbyt wygórowanych pretensjach . . . Jednym się pocieszamy, że możemy walczyć za wszystkich i za wszystko, nawet za tych, co ostatnie pudełko sardynek . . . "w drodze wyjątku" zabrali sprzed nosa głodnemu robotnikowi ze sklepu pana Korzonkiewicza."

Nie zapominajmy, że na kopercie tego listu, który cytuję tak obszernie widnieje znaczek z napisem: "The Royal Air Force and the Polish Air Force are fighting for victory." *To pisze ktoś, kto walczy. To głos człowieka prostego, któremu w Polsce nie dano nic, prócz kropli goryczy. Polska przeszła obok tego człowieka. Teraz on daje Jej całego siebie. Za to żąda tylko prawdy i równości. Czy cena jest wygórowana?*

"Każdy obywatel angielski, bez różnicy, płaci gotówką wszystko i wszędzie. W urzędach, w lokalach nie ma żadnych przywilejów. Nawet policjant w służbie płaci za przejazd tramwajem i autobusem. Tymczasem w Polsce uprzywilejowani otrzymywali bezpłatną komunikację, wolny wstęp do teatrów i kin. Były także fotele z napisami: "dla pana komisarza," "dla pana starosty"; w urzędach była rozpowszechniona obsługa poza kolejką. A robotnik, chłop polski i wielu innych musiało płacić przeważnie gotówką i pełne ceny tym ciężko zapracowanym groszem. W urzędach biedacy czekali godzinami—i chyba tylko na Boże zmiłowanie.

Drugi temat, to kwestia bardzo drażliwa i często jeszcze teraz przez żołnierzy poruszana: sprawa dawnej polskiej propagandy dla żołnierza /filmy, audycje/. Każdy żołnierz to był: "Jasiu," a dziewczyna jego to "Kaśka." Panu sierżantowi najczęściej kucharkę ofiarowano. Skutek był taki, że polska dziewczyna wstydziła się żołnierza. Zabraniano także wstępu żołnierzom do lepszych lokali rozrywkowych, oraz siadania na pewnych miejscach w kinach i teatrach. Tę metodę próbowano stosować nawet tu w Anglii, ale Anglik odmówił."

Wiem, Kolego, wiem. Próbowano raz także "somewhere in Scotland," ale . . . odmówiono. Grzecznie, lecz stanowczo.

"Na zakończenie pragnę jeszcze jedną sprawę poruszyć, bo służbowo trudno to załatwić . . ."

...Oj tak tak. Ten brak zaufania do drogi służbowej, to też jedna z naszych małych, ale prawdziwych tragedii.

"Chodzi o to, czy było by możliwe stworzenie w "Polsce Walczącej" działu informacyjnego dla żołnierzy? Żołnierz mógłby w tym dziale wypowiedzieć się w różnych sprawach i uzyskać informacje pełnowartościowe. Żołnierz polski nie jest z ołowiu: ma duszę, serce i rozum . . . Obecne stosunki wewnętrzne dobre /przynajmniej w lotnictwie/, lecz panują powszechne obawy co będzie później—przypuśćmy . . . po powrocie? Czy aby nie usłyszy się znowu: "my wam te angielskie, demokratyczne mrzonki z głowy wybijemy." Czuję, że napisałem dużo, może za wiele. Utoczyłem kufel, a czy dobry czy zły, pan sam oceni i odpowiednio zaprawi. Pozostaję wdzięczny za serce i duszę. M. rezerwista bez cenzusu."

Drogi Rezerwisto. Kufel Twój, to czysty spirytus z kropelką gorzkiej. Czyści krzywdy. Niczym go nie zaprawię, niczym. Niech tak wszyscy wypiją, jednym haustem, niech łykną trochę goryczy. Może niektórym będzie ciężko przełknąć . . . Ale po tym może odkryją swoje serce, może zdobędą się na trochę ciepła. Głowa do góry i serce w górę. Kochany Rezerwisto, z cenzusem prawdy, z cenzusem niebezpieczeństwa.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Przegląd polityczny

Orędzie Prezydenta Roosevelta, powtórzone przez wszystkie stacje amerykańskie—odbiło się szerokim echem w świecie. Nie będzie nadużyciem słowa stwierdzenie, że słuchaliśmy tych zdań z prawdziwym wzruszeniem.

Nie chcemy schlebiać własnemu narodowi, gdyż pochlebstwo jest usypianiem czujności, jest niszczeniem samokrytycyzmu, tak niezbędnego w rozwoju społeczeństwa. Wiemy, że w okresie przed wrześniem 1939 ludzie, rządzący Polską, popełniali ogromne błędy. Wiemy, że polityka zagraniczna była fatalna. Wiemy, że ta pół-dyktatura, spoczywająca w rękach osób zupełnie do swych funkcyj nieprzygotowanych — wyrządzała straszne szkody w dziedzinie wojskowej, gospodarczej i społecznej. Wiemy, że za późno zaczęto liczyć się z tym strasznym niebezpieczeństwem, jakie groziło nam od ściany zachodniej i na jakie zwracali bezskutecznie uwagę najwybitniejsi politycy polscy. To wszystko prawda.

Ale prawdą jest również, że naród ani na chwilę nie zawahał się przed walką, że nietylko odrzucił jakąkolwiek myśl kapitulacji, ale nie poszedł na żadne frymarczenie swą ziemią, na żadne kompromisy, na żadne sprzeniewierzenie się słowu, danemu swym sojusznikom zachodnim. Walka była więcej, niż nierówna. Tej zakutej w dywizje pancerne olbrzymiej sile niemieckiej — Wojsko Polskie przeciwstawiało tylko własne męstwo, tylko swą siłę charakteru. Wojna we wrześniu 1939 — była jednym wielkim poświęceniem narodu. Poświęceniem i olbrzymią ofiarą był również ten opór narodu w okresie okupacji Hitlera—opór który trwa, walka, która nie zelżała ani na chwilę. Niemcy szukali przez trzy lata Quislingów. Nie znaleźli ich. Natomiast znaleźli ludzi, którzy potrafili umierać.

Wkład Polski w wojnę jest i był olbrzymi od pierwszych dni września 1939. Polska z natury swego położenia, jest pod względem geopolitycznym — kluczem do całej Europy, tak wschodniej jak i zachodniej. Jaki byłby los tej Europy, gdybyśmy, wiedząc, że walka, którą mamy stoczyć musi być nierówna—nie przyjęli tej walki?

Francja, naród wspaniały i wielki, przechodziła w latach przedwrześniowych ostry kryzys wewnętrzno-polityczny. Piąta kolumna, pod wodzą znanych polityków, zdobywała coraz to większe wpływy. W Paryżu szerzył się defetyzm. Nowa broń, niesłychanie groźna, a mianowicie dobrze zmontowana propaganda, zdołała wmówić w dużą część społeczeństwa, że niebezpieczeństwem nr. 1 jest nie Hitler, ale Front Ludowy. Wielka burżuazja francuska obawiała się więcej własnego ludu, aniżeli Niemców. Nie ulega wątpliwości, że, w razie kapitulacji Polski, w razie zgody na warunki niemieckie—klika Flandinów, Lavalów, de Brinonów i Déatów-doszłaby momentalnie do władzy —*i Francja stałaby się bez walki wasalem Trzeciej Rzeszy*. Natychmiast zostałaby śmiertelnie zagrożona Wielka Brytania i Stany Zjednoczone.

Gdyby Rosja nie miała czasu i doświadczenia dwóch lat wojny światowej—to kampania niemiecka upodobniłaby się do wojny fińskiej z listopada 1939. *Niemieckie szanse owładnięcia światem przy pomocy Włoch i Japonii — byłyby nietylko możliwe do realizacji—ale niemal całkiem pewne.* Od stoczenia się w otchłań barbarzyństwa—ocaliła świat w roku 1939 Polska, jej opór i determinacja walki—a w roku 1940, po klęsce Francji, wspaniała postawa Churchilla i narodu brytyjskiego. Nie są to hypotezy. *Są to pewniki historyczne.* Podobnie jak obrona Jugosławii, zupełnie nie przygotowanej do wojny—obrona całkowicie niespodziewana dla Niemców—opóźniła atak na Rosję—tak walka narodu polskiego dała narodom zachodnim nietylko bezcenny atut czasu, ale natchnęła je wolą walki.

Wie o tym naród polski. *Wiedzą Niemcy—i dlatego z taką wściekłością niszczą społeczeństwo, które, dzięki swej walce, dzięki ofierze i poświęceniu narodu—wydarło im wszelkie szanse łatwego triumfu, co więcej, przygotowało nieuchronną klęskę.* Chodzi o to, aby prawdę tę poznali i przejęli jako pewnik—nasi sprzymierzeńcy. *Polska, jako czynnik równowagi Europy, jest niezbędna dla pokoju świata.* Powtarzaliśmy tę prawdę aż *nadto często, przez trzy* blisko lata najcięższej w historii naszej wojny. To jednak, że my jesteśmy najgłębiej o tym przekonani—nie wystarcza. Trzeba, aby zrozumiano prawdziwą wymowę dziejów i w Londynie i w Waszyngtonie. *I dlatego stwierdzenie tej ogromnej roli Polski, dokonane przez jednego z kierowników świata, przez Prezydenta Stanów Zjednoczonych—uważamy za akt o niezwykłej doniosłości, nie tylko dla Rzeczypospolitej, ale dla budowy zrębów przyszłego bezpieczeństwa świata wogóle.*

W ciągu długiej kampanii zahartowaliśmy już nerwy. Dlatego nie przejmujemy się głosem fanfar niemieckich z powodu ofensywy Rommla w Libii. Nie taimy jednak, że położenie na tym odcinku jest poważne, że sytuacja jest ciężka. Spowodowało ją więcej niż tragiczne w swych konsekwencjach stanowisko rządu w Vichy. *Po dymisji Weyganda, admirał Darlan poszedł na całkowite wasalstwo wobec Hitlera—i transporty niemieckie płynęły wzdłuż brzegów hiszpańskich a następnie wzdłuż Algerii i Tunisu.* W taki sposób, Rommel, który naprawdę był już wykończony—otrzymał posiłki i to bardzo znaczne. W ostatniej chwili, przed całkowicie pewnym marszem na Trypolis—ocaliła Niemców już nie tylko zdrada, ale bezgraniczna wprost tępota rządu w Vichy. Rząd Pétaina jest rządem klęski—o tym wie świat. Ale i w klęsce można zachować pewną godność narodową, pewne liczenie się z rolą i przyszłością własnego narodu, jeżeli zapomina się już zupełnie o tej wspaniałej misji, jaką miała do spełnienia wobec Europy Francja. Rząd francuski, pomagający Niemcom w ich walce o hegemonię w Europie, a co za tym idzie, zwasalizowanie Francji i przekreślenie jej roli państwowej oraz narodowej—to naprawdę widowisko więcej niż tragiczne.

Poważna jest również sytuacja na Dalekim Wschodzie. Ale, najobiektywniej oceniając położenie pod Singapore, w Burmie i na Wyspach Sundajskich—jesteśmy dalecy od pesymizmu. Eskadry amerykańskie przechodzą do kontrataku. *Japończycy ponieśli na morzu pierwsze, bardzo silne straty.* Błyskawiczny atak japoński powiódł się tylko częściowo. A już sam ten fakt jest niepowodzeniem, którego konsekwencje okażą się wcześniej czy poźniej.

Taksamo niekorzystnie dla Japonii przedstawia się sytuacja w Chinach. Wojska chińskie idą naprzód, atak ich na Szanghaj nie jest wcale wykluczony—zajęcie Szanghaju, to bezpośrednie zagrożenie Wysp Japońskich. Japończycy wyzyskują ogromne odległości baz amerykańskich i zajęcie W. Brytanii wojną w Europie i Afryce.

Lecz zapasy japońskie nie są niewyczerpalne. Przeciwnie, nafty ma Japonia tylko na sześć miesięcy, a uruchomienie źródeł na Borneo i transporty tej ropy do Tokio—nie jest bynajmniej zadaniem tak łatwym, jak to wmawia w swych czytelników prasa niemiecka. Wojna na Dalekim Wschodzie jest bardzo ciężka—ale nietylko dla Sprzymierzonych. Przedłużanie wojny na Pacyfiku jest dla Japonii niepowodzeniem, jeżeli nie klęską.

Wysp Sundajskich, Nowej Gwinei, Filipin, Półwyspu Malajskiego, nawet północnej Australii —nie można było "zabezpieczyć przed inwazją." Na to trzeba było mieć do swej dyspozycji tysiące samolotów, olbrzymią armię lądową i bardzo potężną flotę. Nie było to możliwe, wobec tak niebezpiecznego terenu walki, jak Ocean Atlantycki, Morze Śródziemne—i wreszcie Morze Północne, oraz front niemiecki od Przylądka Północnego aż po granicę hiszpańską. Olbrzymi front Dalekiego Wschodu w tych warunkach —musiał być "rozrzucony." Lecz to rozrzucenie jest niebezpieczne również dla Japonii. Odcięcie wojsk desantowych od baz na Wyspach—będzie początkiem katastrofy, mimo niezaprzeczalnego męstwa i poświęcenia armii japońskiej. Nie wolno zapominać, że Stany Zjednoczone z całym swym, kolosalnym przemysłem i swymi niewyczerpanymi zasobami gospodarczymi—dopiero weszły do wojny, że wojna Ameryki — to walka o jej byt lub niebyt, i zużycie wszystkich sił społeczeństwa w tej walce [illegible] nakazem chwili. Nakaz ten z pewnością będzie wypełniony.

tk

Pomoc dla Polaków w Rosji

Od początku zbiórki do numeru dzisiejszego włącznie Czytelnicy, Współpracownicy i Przyjaciele "Polski Walczącej" złożyli na pomoc dla Polaków w Rosji sumę 355Ł. 18sh. 4d. (słownie: trzysta pięćdziesiątpięć funtów, osiemnaście szylingów, cztery pensy).

Redakcja pozwala sobie tą drogą jak najgoręcej podziękować Ofiarodawcom i jak najgoręcej prosić wszystkich po polsku, po ludzku zainteresowanych tą sprawą—o dalsze, stałe i możliwie szerokie poparcie akcji zbiórkowej.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze

przeczytałem apele do ofiarności na rzecz braci naszych w Rosji. Myślałem często o tym wszystkim, o naszym uprzywilejowaniu i naszych obowiązkach.

Trzeba bezustannie wracać do najgłębszych, nieocenionych wartości ideałów polskich, ofiarności na rzecz narodu i idei poświęcenia. To pozwoli nam przetrwać kataklizm.

Przesyłam czek na funtów trzy jako pierwszą ratę dla Polskiego Czerwonego Krzyża na pomoc dla braci w Rosji.

Czynię to z myślą i westchnieniem o żonie i córeczkach, które są w nędzy i rozpaczy w kraju.

Z poważaniem

X.Y. docent uniwersytetu,
żołnierz kampanii wrześniowej.

* * *

Szanowna Redakcjo,

W myśl tylu apelów W.P. Redaktora i P.W. Budzyńskiego o pomoc dla cierpiących Rodaków w Rosji—personel Szpitala Wojskowego Nr. 2 jako też i chorzy pacjenci przesyłają niezależnie od składek przy poborach—zebrane na nabożeństwie

	£	sh.	d.
w dniu 1 lutego 1942	4	0	6
Dodatkowo na ten cel złożyli:			
Chorzy ze sali 81 /wręczone przez siostrę Stanisławę/		9	6
P. Majorowa Z.		5	
P. Plut. Józef K.		5	
Razem £5			

Niech te ze serca złożone grosze otrą choć jedną łzę naszym biednym Braciom.

Ta składka pierwsza była prawie bez zapowiedzenia. Ułożyliśmy jednakowoż, że w każdą pierwszą niedzielę miesiąca składka będzie urządzana na ten szlachetny cel.

Wyrazy poważania i szacunku załączam.

ks. H. Pogłódek

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Zgodnie z apelem "Polski Walczącej"—pracownicy Polskiej Y.M.C.A. w W. Brytanii /Biuro w Perth/ opodatkowali się na rzecz Polaków w Rosji kwotą £6 /sześć funtów/ miesięcznie.

W załączeniu przesyłam sumę £12 /dwanaście funtów/ tytułem wpłaty za m-ce styczeń i luty b.r.

Korzystając ze sposobności przesyłam serdeczne pozdrowienia.

Majchrzak
Dyrektor Polskiej Y.M.C.A.
w W. Brytanii

* * *

Redakcja "Polski Walczącej"

W załączeniu przesyłam postal order na £1 sh.16 na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji i proszę o umieszczenie w jednym z najbliższych numerów "Polski Walczącej" krótkich wzmianek angielskich o dołączonej treści.

Jan P.

Powiedzcie swoim angielskim i szkockim przyjaciołom, że British Committee for Polish Welfare przesłał dla Polaków w Rosji od listopada ubiegłego roku ćwierć miliona różnych przedmiotów (w tym przede wszystkim lekarstwa) łącznej wartości 60.000Ł.

Podajcie tym z brytyjskich przyjaciół, którzy się zainteresują sprawą pomocy dla naszych bliskich następujące dwa adresy:

Colonel H. P. Mitchell, J.P., M.P., British Committee for Polish Welfare, 427-428, St. Ermin's, Caxton Street, Westminster London S.W.1. —dla darów pieniężnych.

Capt. Alderman Tulliallan Castle, Kincardine-on-Forth, Alloa — dla darów w naturze.

We received £1. 6sh. which Miss Maynie Dick, Dumfermline, refused to accept, as the equivalent for English lessons given in January to one of her Polish pupils.

We received 10sh. from Mr. J. P., Dumfermline, instead of a souvenir for the first anniversary celebration with "Dear Own Little Bit."

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam postal orders na kwotę £2. 10sh.—z czego £1 na fundusz pomocy jeńcom polskim w Niemczech i £1. 10sh.—na pomoc Polakom w Rosji. Proszę o przekazanie kwoty tej do P.C.K. Jednocześnie proszę o umieszczenie w piśmie "Polska Walcząca" pokwitowania treści następującej:

"Z podziękowaniem za pamięć pp. Truszkowskim, Tonawanda, Stany Zjednoczone, składa kwotę £2. 10sh. —na rzecz pomocy Polakom w Rosji oraz jeńcom polskim w Niemczech por. inż. T.P."

Łączę wyrazy wysokiego poważania.

T.P.

* * *

Do redakcji "Polski Walczącej,"

Przesyłam w załączeniu sumę £1 /jednego funta/, z czego przeznaczam 10sh. na pomoc Polakom w Rosji oraz 10sh. na pomoc internowanym w Hiszpanii. Sumę tę przesyłam na wezwanie p. W. Budzyńskiego w nr. 4 "Polski Walczącej" po otrzymaniu dobrych wiadomości od rodziny w Polsce.

P. Budzyńskiemu wyrażam poza tym tą drogą gorące podziękowania za jego "Bez black-outu." To pożyteczna robota. Nie jestem zresztą odosobniona pod tym względem—jest to zdanie znacznej ilości naszych żołnierzy.

R.D.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej"

przesyłam dziesięć szylingów przeznaczonych na akcję pomocy Polakom będącym w Rosji

z wyrazami szacunku

pochr. Jerzy K.-Ł.

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłamy czeki na sumę £14. 2sh. 6d. na rzecz Polaków w Rosji. Prosimy zaznaczyć: "od pań Polek z Perth, dochód z Kantyny Polskiej."

Z poważaniem

Opiekunka Ośrodka nad rodzinami wojskowych
Maria Pajączkowska

* * *

Nadto nadesłano do redakcji trzy funty "zamiast kwiatów na grób Stefana Kalarusa."

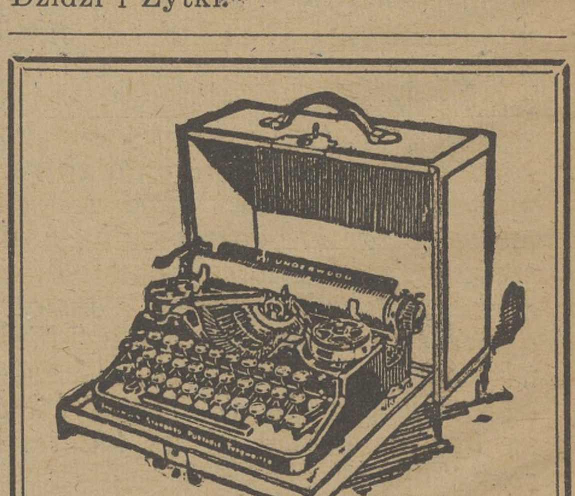
* * *

Łączną sumę 42 Ł 18sh. 6d. (słownie czterdzieści dwa funty, osiemnaście szylingów, sześć pensów) przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Dwa listy od pani Krystyny Rawicz-Szabuniewicz są do odebrania u Ludwika Łubieńskiego, Polish Forces P/25. Listy skierowane są do Dzidzi i Zytki.

SPIS RZECZY

Mieczysław Szerer: Angielski pokład uczciwości.—*Tymon Terlecki:* Na święto marynarzy.—*Czesław Poznański:* Franklin Delano Roosevelt.—*Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny.—*Kazimierz Łukiański:* Polska Marynarka Wojenna.—*Bohdan Pawłowicz:* Pińsk—Pieczora—Wielka Brytania (Marynarze polscy z Rosji wśród nas).—*Bohdan Wroński:* Nocna wachta na kontrtorpedowcu.—*Jerzy Pawłowicz:* Powrót z podwodnego patrolu.—*Adam Sterbałła:* Nowości lotnicze.—*Wiktor Budzyński:* Bez black-outu.—*Eugeniusz Wciślicki:* Wymarzona noc na ścigaczu.—*Andrzej Domiczek:* Strzelanie "na niby."—*tk:* Przegląd polityczny.—Pomoc dla Polaków w Rosji.—Jedna mapa.—Fotografie.



WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.